

## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80 miesięcznie kop. 60.

Na Pradze w księgarni S. Rzymskiego, Wileńska, 4.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10. Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor: Maryan Gawalewicz.

Wydawca: Piotr Laskauer.

Ekspedycja Główna przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszczu“ po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim dla abonentów „Dziennika Poznańskiego“ w Poznaniu kwartalnie 4,00 mk., z przesyłką pocztową 4,60.

## Od Redakcyi.



### Konkurs na nagłówek „Bluszczu.“

Zamierzamy w roku przyszłym przyozdobić pismo nasze nowym nagłówkiem i nadać mu charakter bardziej artystyczny; odwołujemy się przeto do panów malarzy i rysowników, aby raczyli do **dnia 20-go Października r. b.** nadsłać pod adresem Redakcyi „Bluszczu“ (*Nowy Świat 41*) odpowiednie prace, wykonane w rozmiarach proporcjonalnych dotychczasowego naszego tytułu (9 cent. wysokości na 23 centymetrów długości).

Ze względu na warunki reprodukcji chemigraficznej, pożądane są rysunki w powiększonym odpowiednio formacie.

Uproszczone grono sędziów wybierze z nadesłanych prac najlepszą i najodpowiedniejszą do charakteru pisma; nagrodę wyznaczamy w kwocie

**rubli pięćdziesięciu,**

którą wypłacimy natychmiast po rozstrzygnięciu konkursu.

Prace mogą być nadsyłane bezimiennie przy zachowaniu zwyczajnych warunków konkursowych.



## Dla głodnych dzieci.



W pracy organicznej, zmierzającej ku przymnożeniu dobra ogólnego, usunięciu zła, ulżeniu i złagodzeniu smutnej doli ludzkiej, chcemy dorzucić drobną cegiełkę naszej pracy i dobrych usiłowań. Życie ludzkości obejmuje szerokie horyzonty, wzniosłe ideały, dalekie cele, rozległe w swym przeogromie potrzeby, życie społeczeństwa dąży do pełni rozkwitu swych władz duchowych i sił intelektualnych, do zdobycia pierwszorzędnego, wolnego stanowiska i pokojowego, dobrobytu ekonomicznego, życie jednostek koncentruje się około braków i zaspokajania potrzeb codziennego bytu powszedniej egzystencji, *chleba powszedniego*.

I te masy ludu, które dziedzicznie najbardziej są obciążone, umęczone, sterane w walce o pracę, łakną najbardziej chleba. Łakną nadto wielu innych rzeczy: światła dla mózgów zaćmienionych, powietrza i słońca do wolnego oddechu, ale także i przede wszystkim, instynktowo zabezpieczenia siebie i swoich od nędzy i głodu. Głód jest najsilniejszym czynnikiem w życiu fizycznym człowieka, najgorszym doradcą, wraz z lenistwem, do rozwoju złych nałogów i skłonności. Przed tą zmorą głodu należy nam ochronić chociaż małe dzieci, te jednostki niewinne, tych małych męczenników życia, spadkobierców chorób i występku. Te starcze, sine twarzyczki, wątłe członki dziecka zamrożonego niedostatecznym odżywianiem, to rozpacz, to wyrzut najgłębszy, najboleśniejszy dla zadowolonych i sytych, dla wszystkich mieszkańców tak olbrzymiego miasta, jakim jest Warszawa, dla całego społeczeństwa.

A ileż wśród nas jest głodnych dzieci! Człowiek dorosły głodny niema sił do pracy,

dziecko — do życia i rozwoju swego tak fizycznego, jak umysłowego. Ratujmy dzieci! I to hasło: „ratujmy!“ poszło dziś szerokimi kręgami po przez wszystkie warstwy społeczne. I my pragniemy przyczynić się w tej akcji otwierając (za udzielonym nam zatwierdzeniem) dział ofiar *dla głodnych dzieci*. Dla niemowląt, dla których pierś matki pusta, dla maleństw, których matki lub rodzina wyżywić nie jest zdolna, dla tej całej drobniutkiej, a tak licznej rzeszy skowrończej małych ludzi, którym u progu życia głód był chrzestnym i zabrakło środków, aby móżdż żyć, którzy w zaraniu zetknąć się muszą ze strasznym słowem: nędza; dla tych, których przecie dzieciństwem jest Królestwo niebieskie, im przyobiecane.

Ty, młoda matko, która uśmiechasz się do swego pierwotnego tłusciutkiego, rumianego, zdrowego boba, pomyśl, iż na świecie jest ich tyle na pozór podobnych do twego, które są głodne; ty kobieto, w której domu nie zabrzmiał nigdy śmiech dziecięcy przy twym domowym ognisku, ty skrzętna pracownico, dla której dzieci całego świata są twemi dziećmi — kobieto-człowieku podaj dłoń pomocną na wezwanie! I wy dzieci same, wesole, szczęśliwe, które według słów poetki, macie serca gorące, skłonne odczuć niedolę sierotki, wy:

„rączkami twarz jej pogłaskajcie,

„Ale naprzód jeść, o... jeść jej dajcie!...“

Redakcyja zwraca się z gorącą prośbą do nowo-przybywających prenumeratorek i stałych abonentek „Bluszczu“, prosząc o poparcie rozpoczętego dzieła.

Najdrobniejsze ofiary (nawet w markach pocztowych) z wdzięcznością przyjmowane będą.



# Gasnące dzieci.



## II.

U dzieci przemęczonych i zabijanych niewiarą objawia się najczęściej *ponure milczenie*. Jest to jakoby zamknięcie się w sobie, odgraniczenie młodej duszy od serc bliższych i dalszych; jest to jakoby pancierz lodowy, który życie wkłada na płonące uczuciami serce dziecka.

— Czemu jesteś smutny?—pyta matka troskliwie, czy miałeś jaką przykrość? Czy jaki kolega powiedział ci coś nieprzyjemnego?

— Nie!—odpowie chłopak zimno.

— Ale przyznaj się szczerze!... przecież dawniej nie kryłeś się z niczem, coś ci jest, dobrze poznaję, może professor o co się rozgniewał... powiedz!

Chłopak rzuca znów swoje „nie“... ale widać dobrze, iż w duszy kryje jakiś smutek, niezadowolenie, czy żal...

Cały dzień jest nie swój, nic go nie cieszy, nie weseli, a dopiero późno wieczorem, gdy spać się kładzie, poczyna szeptać:

— Mam zmartwienie.

— Czemuż nie powiedziałaś od razu?... czemuż kryłeś dzień cały?...

— Pan professor się gniewał, że nie uważam, a ja nic jego nie rozumiałem, nie mogłem zrozumieć, co on mówi.

Tak tłumiony smutek wpijał się co raz głębiej w myśl młodą, tak ją przeżerał, jak rdza żelazo, tak ssał ją, jak pasorzyt, nięnasycony, a początek był w przemęczeniu, bo jeśli piątą godzinę dziecko siedziało przy pracy, a professor jeszcze je karcił niesłusznie, nic dziwnego, iż zadowolenia to przynieść nie mogło.

— Czy jesteś chory? — pyta znów matka innym razem;—boli cię co?..

Chłopak ponuro milczy, albo mruknie: „nie.“ Dlaczego jednak dawniej umiał on wszystko szczerze, z otwartością anielskiego serca wyjawiać przed matką, przed ciocią, przed kolegą lub siostrą?...

Bo on dawniej wierzył w to, iż wszyscy go kochają, wszyscy rozumieją i współczują, a teraz przekonał się, iż gdy powie prawdę, nie uwierzą mu, gdy żali się, to karzą, gdy ustaje w zmęczeniu, to otrzymuje napomnienia zanadto ostre.

Milczące dzieci, to już pierwszy objaw, iż choroba do ducha weszła, iż już źle się dzieje, poczyna, bo jako za chmurą, kryje się słońce, tak za mrokiem milczącego dziecka ukrywa się jego serce i dusza.

Przypomnijmy sobie sami, z lat naszych dziecięcych, czyż wtedy, kiedyśmy miewali chwile milczenia, nie przeżywaliśmy najcięższych prób i rozczarowań?...

Szczęśliwe, wesole, promieniejące radością dziecko, jest szczebiotliwe i otwarte, wszystko powie, co myśli, co czuje.

Dziecko zranione i skaleczone poczyna się zamyslać i milczeć...

Ażeby wydobyć z zamkniętych ust dziecka wyznanie szczerze, dlaczego jest chmurne i milczące, nie trzeba się do tego zabierać ostro

i hałaśliwie, lecz jak z chorobą, potrzeba postępować nader ostrożnie.

My zaś przeciwnie czynimy, wołamy zaraz:

— Jak mruk siedzisz nadąsany!... Nie możesz to powiedzieć, co ci jest?... Zapewne coś zbroiłeś, kiedy się chmurzysz. Człowiek dobry i szlachetny nigdy chmurnym nie będzie. Zaraz powiedz, co ci jest, inaczej dostaniesz karę!...

A serce dziecka, właśnie pod grozą kary otwierać się nie chce i jak mimoza zamyka się coraz bardziej.

Słowacki w „Lili Wenedzie“ powiada:

„Litośniejsemu są pioruny złote,  
Bo tylko *sosnom* serca rozdierają.“

Istotnie!... Patrząc na szczytach gór na połamane przez pioruny sosny i jodły—przypominałam sobie słowa Juliusza wiele razy. Pioruny tylko sosnom i jodłom rozdierają, łamią na wieki serca, a naszym dzieciom rwą i łamią je ludzie, źli i niedobrzy wychowawcy, którzy nie umieją goić blizn, lecz krwawią je coraz głębiej... Niestety, i my sami je nieraz rozdieramy, nie z braku miłości i troskliwości, ale z braku realnego poszanowania duszy takiej drobnej i mało znaczącej jednostki, jaką jest dziecko!...

Gdy nam dzieci milkną, gdy stają się skryte, gdy jak konchy zamykają ból w sobie, to my gniewem i krzykiem, groźbą i karą chcemy je uczynić innemi...

Zrozumiemyż... Czy na dotknięcie rozpalonego żelaza ozwie się śmiech wesoły?

Szyderstwo nasze, nasze dogadywania nie jeden raz tak twarde i ciężkie, iż zdaje się ułamałyby silnych dębów konary, spadają na serca dzieci i mają je niby to leczyć z uporu, zaciętości, pochurności!...

— Mruku ty nieznośny!—wołają rodzice,—jak nietoperz chmurny wydajesz się... — czyż ciebie kto będzie kochał takiego?... Kolledzy cię nie będą lubili, professorowie cię znienawidzą, nikt nie kocha mruków nadąsanych i gniewnych.

A dziecko w głębi dobrze to czuje, wie i rozumie, iż gdyby mu było dobrze, ono by nie było chmurne, tylko właśnie dlatego jest takie milczące i zamknięte w sobie, że nie może otwarcie powiedzieć: co mu dokucza, a nie może też zapomnieć o tem, z czem mu źle i ciężko.

Dla dziecka gasnącego—gdy tylko poczyna milknąć i zamykać się w sobie,—należy mieć jak najwięcej dobroci i łagodności, tak, ażeby ono bez lęku i trwogi mogło wypowiedzieć każdą myśl i wrażenie, ażeby ono mogło uzalić się przed matką lub ojcem na ciężką swą pracę, na to, co mu odbiera radość życia, co mu gasi jasność szczęścia młodocianego.

My, spostrzegając u dzieci ponurość ową milczącą, posadzamy je o złość serca i najfałszywiej sądzymy, iż karceniem, ostrością i groźbami wywołamy swobodne usposobienie. Skutek bywa wręcz przeciwny.

Czem więcej się gniewamy i czem zimniej obchodzimy się z takimi dziećmi, tem one stają się chmurniejsze i coraz więcej w sobie zamknięte.

Przemęczonemu nauką dziecku, należy dać jak najwięcej wypoczynku. Wycieczka na wieś, w las, w pole, zabawa swobodna w pia-

sku, w rzece, to balsam i lek na takich bólów rany.

— Al... nie mogę mu dać spocząć,—powiada ojciec lub matka,—mógłby rok stracić...

Wierzcie mi, zacni rodzice, nie przez wytechnienie rok dziecko straci, ale straci pogodę ducha i życia przez przemęczenie nadmierne.

Dziecko gasnące odżyje na nowo i sił nabierze i radością się napełni i dobrem znów będzie, jeśli tylko my poczniemy je leczyć umiejętnie i damy mu spoczynku tyle, ile mu koniecznie potrzeba; dziecko gasnące pocznie znów szczebiotać swobodnie i zwierzać się ze wszystkich uczuć i wrażeń, jeśli my tylko zdołamy zagoić owe blizny i rany, które mu życie duszę pokaleczyły.

Nie jest to rzecz łatwa do wykonania, — każdy przyzna, ale nie wolno, pomimo trudności, od niej się uwalniać.

Bywają charaktery trudne do kierowania, bywają dzieci, które muszą być sztywniej i ostrzej prowadzone od dzieci łatwiejszych, jednak i tu potrzeba znaleźć drogę wyjścia.

Przedewszystkiem zaś, jeżeli tylko zauważymy u dziecka chmurność i milczące zamyslanie się w sobie, musimy je wziąć pod bardzo staranną opiekę i dołożyć wiele starań w tym właśnie celu, ażeby wzbudzić ufność i otwartość szczerą.

Jeśli dziecko kryje się i zamyka w sobie, już ono duchowo cierpi i już mu życie poczyna gasić serdeczną wiarę w dobroć i szczerłość tych ludzi, którzy go otaczają...

Jak ziarno wschodzi i kiełkuje, gdy je słońce ogrzeje,—tak budzić się będzie radość i pogoda w sercu dziecka, gdy je ciepło miłości i wyrozumienia rodziców owionie.

Ratujmy gasnące dzieci, kładąc dłoń na ich sercu!

Jadwiga z Z. Strokowa.



Marya Kunkłowa.

# O G I E Ń.

NOWELLA.



(Dokończenie).

Słońce chyliło się ku zachodowi; drzewa rzuciły długie cienie. Czerwony promysek błakał się po pomniku i potokiem różowego światła ożywił fotografię matki Czesława.

Wuj Anastazy zbliżył się nieco, a oparłszy się o balustradę, począł wpatrywać się w jej słodką a smutną twarz.

— Oj! tak... tak... młodości! górna i chmurna!... wszystko minęło, przepadło bezpowrotnie!...

— I czy znalazł pan szczęście, porzuciwszy wiarę młodości dla tej drogi, którą wszyscy chodzą?

— Szczęście?!... — zawołał, zwracając swą zwiędłą twarz ku mnie.—Szczęście?! Dziecko!... więc ty sądzisz, że na świecie jest jakieś szczęście, które gdzieś na ciebie czeka z otwartymi ramionami, lub które spłynie na ciebie, jak gołąb i usiądzie cicho na twej wy-

ciągniętej dłoni? Ludziom na podobne pytania odpowiadam zwykle, że szczęście—to wino, śpiew i kobieta, czyli jak obecnie: koniak, karty i kobiety; pani jednak odpowiem, że na tej drodze spotkałem zawód, przesył i nudę!... ale to samo znalazłbym zawsze i wszędzie, a może po nad to—ból i cierpienie, gdybym miał nieszczęście zapatrywać się na wszystko poważnie.

— I nigdy, nigdy pan nie żałował, że... że... no, że prowadził pan życie, które naprzykład mnie się wydaje niegodnym człowieka, który szczebel za szczeblem piąć się winien do doskonałości?

Wuj począł mętnemi oczyma znów patrzeć na smutną twarz portretu.

— Raz... tak pani... Miałem wtedy około trzydziestu lat. Zakochałem się, jak ostatni idyota, chociaż nie wierzyłem wtedy w miłość i miałem po za sobą życie, pełne niewybrednych przygód. Ona — daleka moja kuzynka, wiem... pewien jestem... kochała mnie również. Wtedy bywały takie chwile, że zdawało mi się, iż szczęście niewidzialne krąży nademną... Aż tu pech... Stróżka tego domu, gdzie ona mieszkała, miała do mnie złość o swoją córkę... hm... no, mniejsza o to dla czego... dość, że wiedząc o moich zamiarach względem Cecylii, poszła wprost do niej i przedstawiła mi w ten sposób, że sam nieboszczyk Don-Juan pozazdrościłby mi sławy...

Chciał się roześmiać, ale usta skurczyły mu się jakoś w dziwny sposób.

— Tak—ciągnął,—tak... młodą była, nie znała życia, więc wyobrażała sobie, że ja jeden jestem takim zbrodniarzem... Zachorowała, a później nawet spojrzeć na mnie nie chciała... zawzięła się... Potem — wyszła za męża, ale nie znalazła jakoś szczęścia w pożyciu z mężem... Ciężkie chwile wtedy przeżyłem—i tylko ten jedyny raz żałowałem, że nie poszedł drogą niegodną człowieka, jak to się pani raczyła wyrazić. Życie jednak goi wszelkie rany i zseła zapomnienie... Pomimo tego, gdy umarła — odczułem wielką pustkę, zdawało mi się, że zgasło światelko małe i drobne wprawdzie, ale które chwilami wskazywało mi drogę, bym nie przepadł w trzęsawiskach... Tu ją pochowali... — rzekł cicho, wskazując na grób.

— Matka Czesława?!... — zawołałam, przejęta jakąś tajemną zgrozą.

— Aaa... wypadek ten jest dla mnie tem boleśniejszy... Fatalność... traf dziwny!... Pomimo całej nielogiczności podobnego zapatrywania, czuję się jednak bardzo winnym... wobec niej...

Drżącą ręką o chudych palcach począł szarpać ubranie na piersiach, jakby chcąc rozdrapać własne serce. Broda mu drżała, kąty ust obwisły—wyglądał, jak małe dziecko, co lada chwila ma wybuchnąć płaczem, pełnym bezsilności—małe dziecko ze starą i pomarszczoną twarzą...

Čzęsto chodzę na cmentarz. Najlepiej tu myśleć mogę. W głowie i sercu mem zrywa się burza i wre huragan—a dokoła cisza grobów, tylko jakieś strzępy przeżytych myśli, przecierpianych bólów krążą w falach powietrznych i jak drobne pyłki nasienne padają na mój mózg wyczerpany, zapładniając go, lub

jak gwiazdki śniegu okrywają mu czoło chłodzącym wieńcem. Dobrze się czuję wśród umarłych, nawiązała się jakaś tajemnicza nitka porozumienia między mną a tymi, którzy niegdyś, goniąc za szczęściem—chwytali dłońmi kolące osty i twarde ciernie...

I wywołuję z mogił martwe me siostrzyce, a gdy cicho zbliżą się niewidzialne ku mnie i okrążą mnie mglistem i chwiejnym kołem—wiodę z niemi długie, serdeczne gawędy.

Mówią mi one, jak powiew wiatru nieuchwytnym szeptem, że istnieją czarowne ogrody miłości, gdzie wznosi się pałac z kryształu... Mówią o sercu czystem i nieskalanem, co długo szukało serca bratniego, a znalazłszy je, na dnie jego miast rosy przezroczej, ujrzało garść błota, wśród którego kłębiły się żądze, jak gady jadowite...

— Siostry umarłe! co czyniliście, aby serca waszych braci zachować w czystości...

— Modliłyśmy się!...

— To mało!...

— Cierpiałysmy...

— To mało!...

— Płakałyśmy...

— To mało!...

— Cóż więcej mogliśmy uczynić?...

— Siostry me umarłe! posłuchajcie, co ja chcę uczynić:

Oto powiem mym braciom: „Duch Ludzkości w sercach waszych zamieszkał ogniem młodości i uświęcił was swą obecnością.

A wiedzieć macie, iż tą samą siłą Leonardo tworzy „Wieczerzę Pańską,“ Beethoven—„Dziwiątą symfonię,“ Macedończyk podbija świat, Siddharta—zwycięża śmierć i cierpienie, Romeo—kocha Juliettę i Don-Juan—zdobywa kochanek tysiąc i trzy.

Ogień, co mieszka w was, uczynił to, że człowiek z nędznego robaka pełzającego wznosił się na stopy i stanął, jak wieża gotycka, górując mądrym czołem po nad twarami natury.

Ogień, co mieszka w was, dźwiga ludzkość i nadal ze szczebla na szczebel po drabinie udoskonala.

Bracia! pokłońcie się przed ogniem młodości! Czujcie go i nie znieważajcie, gasząc go w błocie występku i rozpusty!

Nie znieważajcie Ludzkości całej! Niech ogień waszej młodości zapewni jej wieczne trwanie i wieczny postęp w rozwoju!

To chcę powiedzieć mym braciom—siostry umarłe!

— Nie uwierzą ci!

— Więc powiem im: Szczęścia szukacie—za szczęściem gonicie, gdyż znacie je z marzeń waszej młodości.

Mieszka ono w zaczarowanych ogrodach miłości, w kryształowym pałacu, zdobnym złotą koronką, przysłonięte gęstemi opony, jak ów posąg w Sais. Lecz aby drogi do szczęścia nie zgubić i nie zostać wciągniętym przez złe moce w trzęsawiska i manowce, co na się wzięły postać błędnych ogników—trzeba zaopatrzyć się w talizman i strzedz go baczenie. Czyste serce, czyste życie—to wasz talizman. To im powiem, siostry moje umarłe...

— Nie uwierzą ci!

— Więc wyrzeknę się szczęścia własnego i miłości—skarzę na wieczną tęsknotę, zabiję

w sobie młodość i pragnienia, wyrzeknę się ogniska, rodziny i głowę złożę na przydrożnym kamieniu...

— Nie uwierzą ci!

— Więc ostrym nożem zadam sobie ran tysiące, żywot rozpruję i wysnuję trzewia i serce wydrę drgające...

— Nie uwierzą ci!

— Więc na stos wejść płonący, dusić się będę w dymów kurzawie, słuchać tłumów przekleństwa i złorzeczeń...

— Nie uwierzą ci!

— Więc cóż mam czynić?

Daremnie wyczekuję odpowiedzi—siostry me umarłe milczą—i cicho kładą się w grób...

Więc cóż mam czynić?

Pójdę do sióstr mych żyjących—do sióstr, co dojrzały w bólu i cierpieniu...

Powiadają, że na dnie kielicha rozkoszy gorycz jest i męty, — nie znam rozkoszy — znam ból. Na dnie zaś kielicha cierpienia—jest miłość i cześć dla Ludzkości.

Do tych więc pójdę, co kochają i cierpią; a gdy staniemy ramię przy ramieniu, gdy nateżymy wszystkie nasze siły—dźwigniemy ludzkość o jeden szczebel w górę!...



\* \* \*

Szarem tłem roli po jesiennej orce  
Wieczorna chwila gasi blaski dzienne,  
Na szarej miedzy szare grusz proporce,  
Na gruszach szare ptaszyny półsenne —  
Ostatnie echo gdzieś za lasem ginie  
Pieśnią przerwana o szarej godzinie!

Szara godzino! godzino czekania  
Świtów, co jeszcze odgrrodzone nocą!  
Godzino wspomnień zgasłego zarania,  
Którego brzaski w pamięci się złoć!  
Szara godzino! jam cię od powicia  
Miał jedną tylko za całe tło życia!

Jak na tej roli o wieczornej porze,  
Stanełś przy mnie u dziecka kolyski  
I zaraz pierwsze przygasilaś zorze,  
I pierwszych świtów zaciemnilaś błyski,  
I pierwsze echo, co mi w życiu dano,  
Oblekłaś w szarość, niby pieśń przerwana.

I zawsze odtąd trwałaś u mych progów —  
Lata i zimy, wiosny i jesienie,  
Zawsze jak smugiem jałowych odlogów,  
Gasząca myśli i pragnień promienie,  
Mówiąca tylko ciszą i żalobą  
Za tem po tobie i za tem przed tobą!

El.



## BARWA NIEBA.



Wiadomo, że odnośnie do zjawisk natury, spotykanych codziennie, czy bardzo często, choćby one były najwspanialsze, ogół ludzi zachowuje się z niezmierną, bezprzykładną

obojętnością, a zjawiska geofizyki należą może do najobojętniej przyjmowanych. Zabarwienie mórz i jezior, różnorodne, zmienne barwy nieba, są to zjawiska, na które tysiące ludzi patrzy zupełnie bezmyślnie i nikomu do głowy nie przychodzi pytanie: dlaczego niebo wydaje się nam niebieskie?

Przedewszystkiem, jak powstaje kolor, barwa? Aby z białego światła otrzymać światło zabarwione, znane doświadczenie uczy, że należy światło białe rozłożyć przy pomocy szklanej pryzmy. W rozkładzie tym, zamiast jednego, światła białego, dostrzegamy tak zwane kolory tęczy w następującym porządku: czerwony, pomarańczowy, żółty, zielony, jasno-niebieski, ciemno-niebieski, fioletowy. To są dla oka naszego dostrzegalne, składowe kolory światła, pochodzącego np. od metalu do białości rozżarzonego. Po za czerwonym brzegiem spektrum są jeszcze promienie, które obecność swą zdradzają ciepłotą, po za fioletowym, są takie, które chemicznie oddziałują na niektóre ciała i wywołują zjawisko, znane pod nazwą fluorescencji. Przez złożenie wszystkich kolorów razem otrzymujemy znowu wrażenie światła białego. Nie należy przypuszczać, że promienie czerwonej części spektrum i części niebieskiej, czy fioletowej są jednej i tej samej właściwości, siły; tak z pewnością nie jest, tylko dla naszego oka jest to niedostrzegalne. Faktycznie każdej części spektrum odpowiadają różnej właściwości promienie, to znaczy w języku fizyki: promienie o różnej ilości i długotrwałości drgań, czyli o różnej falowatości w czasie i przestrzeni. Według przyjętej teorii o falowatości światła, wyjaśniającej zrozumiale ogólnie znane optyczne zjawiska, przyjąć musimy, iż przenoszenie światła dzieje się za pomocą niezmiernie lotnej, elastycznej materii, wypełniającej świat cały i przenikającej wszystkie ciała, a którą zwiemy eterem. Według tej teorii wszystkie atomiki eteru, znajdujące się na linii danego promienia, przenoszą i przekazują sobie drgania. Jeden atomik po drugim zostaje w ruch wprowadzony, zupełnie analogicznie do cząsteczek wody, poruszonych przez wrzucenie kamienia, który staje się punktem środkowym falowania; każda cząsteczka wody dokonywa drgania dla utrzymania własnej równowagi i pozostaje w miejscu, ruch jednak rozszerza się coraz dalej.

Przenoszenie się światła możemy sobie wytłómaczyć w następujący sposób. Jeśli cząsteczka eteru, dla utrzymania swej równowagi, zostanie wprowadzona w drganie, ciałka te, przenoszące światło posunęły się, przebyły, kawał drogi, a drogę tę nazywamy długością fali. Zrozumiałą jest rzeczą, iż długość fali o tyle jest mniejsza, o ile krótsze jest trwanie drgań.

Dla zrozumienia teorii kolorów trzeba wiedzieć, że długość fal ku środkowi spektrum zmniejsza się. Tak, że promienie czerwone mają długość największą, niebieskie i jeszcze mniej intensywnie działające na wzrok nasz promienie fioletowe, mają długość fal, inaczej: liczbę drgań, najmniejszą. Nie wszystkie ciała wykazują jednakowo kolory spektralne, w jednych te lub inne promienie występują bardzo silnie, w innych słabo, w innych jeszcze

pojawiają się mieszaniny barw i odcieni kilku. Jedne kolory pozostają, inne dla oka naszego zanikają, a tłómaczymy to sobie w ten sposób, że jeśli przedmiot jakiś wydaje nam się czerwony, to znaczy, że promienie wywołujące barwę czerwoną do oka naszego doszły, inne zaś zostały przez wierzchnią warstwę owego przedmiotu pochłonięte. Weźmy np. pod uwagę czerwone szkło. Cieniutkimi warstwami przepuszcza ono z białego światła tylko te promienie, które wywołują kolory: czerwony i pomarańczowy. Szkło jest niby sitem, filtrem, im grubsze szkło, tem niby gęściejsze sito, silniej zatrzymuje wszystkie promienie, które nie są czerwonymi. Analogiczne przykłady wykonać można z różnemi, barwnemi szklami. Natomiast zwykła szyba szklana wydaje nam się bezbarwną, tak, że łatwo przyjąć możemy przypuszczenie, iż wszystkie promienie światła białego z jednakową siłą zostały przez szybę przepuszczone. Atoli i tu spostrzeżemy pewną różnicę w sile przepuszczenia, właściwie wchłaniania, jeżeli spojrzymy przez wązki brzeg danej szyby, t. j. jeśli światło obserwować będziemy wtedy, gdy względnie większe warstwy szklane przebież będzie musiało, zanim uderzy o nasze oczy; dostrzeżemy wtedy na szkle odcień zielonawy, bo zielone promienie są względnie mało pochłonięte.

W podobny sposób przez długi czas tłómaczono sobie powstanie niebieskiego zabarwienia nieba, lecz już professor Pertner, dyrektor obserwatorium w Wiedniu, zbija to przypuszczenie, dowodząc, że słońce tembardziej niebieskie przyjmuje światło, im bardziej wznosimy się nad poziom morza i że, prawdopodobnie, po za osiągnięciem dla nas atmosfery, wydaje się doskonale niebieskie.

Według obecnie przyjętego w nauce dowodzenia, niebieski ton nieba pochodzi od promieniowania, pływających w powietrzu, niezmiernie małych ciałek. Niebieską barwę nieba fizycy uważają za kolor charakterystyczny „zmaconego medium“ i rzeczywiście doświadczenie wykaże łatwo, że najdoskonalej czysta substancja, zamaczona pływającami w niej drobniutkimi cząsteczkami, zazwyczaj wykazuje w refleksie mniej albo bardziej wyraźną niebieską barwę, przeciwnie zaś przenikające przez ową substancję światło przybiera tony czerwone i żółtawe.

Weźmy np. odrobinę żywicy, rozpuśćmy ją w alkoholu i kilka kropli tego roztworu wlejmy do szklanego naczynia, napełnionego czystą wodą, poruszmy naczyniem, woda zamąci się i otrzyma piękną, niebieską barwę. Barwa ta najwyraźniej występuje, gdy postawimy naczynie na tle ciemnym, np. na tle czarnego kartonu i przekonamy się wtedy, że im więcej dolejemy żywicznego roztworu, tem woda bardziej bieleć pocznie, aż utraci pierwotne piękne zabarwienie i stanie się mętną, białą. To się da tem wytłómaczyć, że obok drobniutkich, mącących wodę atomów, znajdują się ciałka większe, które, jak każde inne, zwykle bezbarwne ciała, odbijają światło i sprawiają w zjawisku zaburzenie. Zaburzenie tem jest silniejsze, im więcej owych potężniejszych ciałek znajduje się w wodzie. Aczkolwiek w mleku zjawisko powyższe nie

występuje tak wyraźnie, mleko także służyć może za przykład „zmaconego medium.“ Wiadomo, że im mleko jest chudsze, tem barwa jego staje się bardziej niebieskawa, to znaczy, że staje się taką, im bardziej mleko pozbywa się burzących kuleczek tłuszczu, których średnica waha się pomiędzy 0,01-ą, a 0,0016-ą milimetra.

Genialny angielski fizyk, Tyndall, przy znakomitych swoich badaniach, nad chemicznym działaniem światła na bezbarwne, lotne substancje, doszedł, że ciałka wpływające na niebieską barwę nieba i w ogóle na niebieskawe zabarwienie zmaconego medium, muszą być tak niepochwytnie drobne, że nie może tu chodzić o refleks w zwykłym tego słowa znaczeniu. Fizykowi Struttowi, późniejszemu lordowi Rayleigh, udało się zjawisko to pogodzić zupełnie z teorią o falowatości światła.

Musimy sobie wyobrazić, że te nadzwyczajnie małe ciałeczka, stają się punktami środkowymi nowych drgań, czyli że od nich na wszystkie strony rozchodzą się kręgi nowych fal. Po wielu przykładach i doświadczeniach, okazało się, że działanie owych nowych, drobnych fal wywołuje wielką przewagę promieni niebieskich nad innymi promieniami spektrum, jeśli zaś wyniki wypadły odmiennie, okazywało się, że powodem ich było wmieszanie się ciałek większych, jak np. skondensowanych wytworów pary wodnej.

Przy tych doświadczeniach udało się profesorowi Pertnerowi dojść do wyniku, że atmosfera działa na przenikające ją promienie słoneczne siłą zmaconego medium, i że niebieska barwa nieba istotnie z tego oddziaływania pochodzi i musimy położyć nacisk na słowo „istotnie.“ Nie należy zapominać, że pochłanianie światła różnych części składowych atmosfery, np. ozonu, musi w pewnym stopniu wpływać osłabiająco na intensywność niebieskiej barwy nieba, w każdym atoli razie są to czynniki działające chwilowo i stosunkowo bardzo słabo.

Doświadczenia lorda Rayleigha i postawiona przez niego zasada oddziaływania atmosfery, jako zmaconego medium na światło słoneczne, czyni też zrozumiałem zabarwienie zachodzącego i wschodzącego słońca, zależne od przesunięcia ku czerwonej stronie spektrum. Pyłki kurzu, przepełniające atmosferę łagodzą to zjawisko. Jeszcze silniej oddziałują na barwy zachodzącego i wschodzącego słońca pary wodne, które są podstawą atmosferycznych prognostyków, uznawanych przez ludzi wiejskich.

Zofia S.



## GIMNASTYKA PSYCHICZNA.

### KSZTAŁCENIE WOLI.



Suggestya uważana jest obecnie nie bez pewnej słuszności, jako niebezpieczne doświadczenie. Czyż nie widziano hypnotyzerów, narzucających swoją wolę i zmuszających nawet do pełnienia czynów złych i zbrodniczych osoby

najzupełniej niewinne? To też ludzie lękają się posługiwania tą siłą psychiczną, a jest ona taką, jak wszystkie siły naturalne: o ile ktoś nie umie ich użytkować, są niebezpieczne, — właściwie zastosowane stają się potężnymi, pomocniczymi czynnikami. Człowiek nieświadomy, niezający wielkiej siły suggestyjnej, jaka w nim samym spoczywa, narażony jest na wszystkie autosuggestye, złe i dobre, nie może unikać tych, które mu są szkodliwe. Kłamca nie wie, że sam pierwszy będzie pochwycony na gorącym uczynku kłamstwa. Ktokolwiek nie jest szczerym w swych słowach lub czynach, czy to będzie udawał sceptyka, czy też wierzącego entuzyastę lub mizantropa, stopniowo wejdzie w skórę swojej własnej kreacji. Wszechsuggestya, wypływająca ze wszystkiego, co nas otacza, zadowalnia potrzebę wierzenia tak niezwalczoną w niektórych umysłach. Dziki pokrywa się amuletami i biegnie odważnie naprzeciw wroga; „Kto z Bogiem, Bóg z nim,“ — mówi zwątpiały i nabiera odwagi. Potrebę wierzenia odnajdujemy w naszych przysłowiacz, podaniach, we wszystkich zabobonach i wierzeniach naszych.

Nieświadomą suggestyę stwierdzają np. ci, którzy zasypiają z postanowieniem stałym obudzenia się na dwie lub trzy godziny wcześniej, niż zazwyczaj: myślą o tem ciągle podczas snu i budzą się, jak zamierzały. Ktoś mówi: „Nie idzie mi; fatum mnie prześladowa.“ Nie mu się nie uśmiecha, zwątpiały jest zupełnie. Jakże może dopiąć czegośkolwiek, kiedy nie ma najmniejszej wiary w powodzenie. Autosuggestya w tym razie źle działa. Przeciwnie, wszystko sprzyja temu, któremu się zdaje, że jest pod dobrą gwiazdą urodzony, że dobre wróżki lub fetysz jaki strzegą go od złego: wierzy w to silnie i ta wiara daje mu odwagę i wytrwanie.

Tysiączne są przykłady autosuggestyi, należy jednak przedewszystkiem poznać sposoby jej użycia. Nie wszystkie godziny dnia są odpowiednie dla wywierania autosuggestyi. Należy oderwać się zupełnie od świata zewnętrznego i trwać w bezwzględnej skupieniu, unikać wszelkiego ruchu, gwaru, rozmów, wszelkich nieprzyjemnych wrażeń, zimna w nogi, migreny i t. p. Najodpowiedniejsze są godziny wieczorne, w łóżku, przed zasnięciem, kiedy władze myślenia przestają być czynne, a imaginacya senna jeszcze nie działa. W danej chwili osobnik powinien z całą siłą nateżenia myśleć o rzeczy, którą chce osiągnąć sam od siebie, myśleć długo, powracać do tej myśli. U ludzi obdarzonych silną wolą, rozmyślenia te wewnętrzne są niesłychanie skuteczne, doprowadzają do nadzwyczajnych rezultatów, np. do kierowania mięskami, wogóle niezależnymi od woli: poruszają uszami, przyspieszają i powstrzymują bicie serca.

W traktatach fizyologicznych spotykamy tysiące takich faktów. Autor artykułu przytacza kilka, widzianych własnymi oczyma. Przed dwunastu laty będąc w Indyach, poznał Europejczyka wykonywującego nadzwyczajne doświadczenia fakirów i opowiadającego, że zachwycony fakirami postanowił ich naśladować; przekonał się, że wystarcza mu tylko *chcieć silnie*, ażeby dwadzieścia minut lub nawet pół godziny stać z rękoma rozkrzyżowa-

nemi, zagłębiać długie igły w policzki i ręce bez bólu i bez śladu. Przeciwnie, gdy przestawał *chcieć*, cierpiał silnie i krew z ukłucia płynęła. Podobny fenomen widywano u słynnego Tomasza w cyrku Barnuma. Kłut się szpilkami, anestetyka była widoczna, a nadto mógł, stosownie do woli, przyspieszać lub zwalniać cyrkulacyę krwi.

Ludzie tego rodzaju w starożytności nazywaliby się stoikami. Stoicy znosili najcięższe operacye spokojnie, powtarzając tylko: „Boleści, ty jesteś czczem brzmieniem!“ U dzikich spotykamy dzisiaj jeszcze takie nadzwyczajne znieczulenia. Doktor Damogbon opowiada, że w Omdourman (w Nubii) za czasów derwiszów, karano złoczyńców na placach publicznych obcięciem kończyn ręki, poczem zanurzano posiekane członki w olej wrzący dla zatamowania krwotoku. Wszyscy znosili te męki bez krzyku, bez jęku, bez drgnienia twarzy, z niewzruszonym, skamieniałym spokojem. Z poczucia honoru nie okazywali cierpienia, które też siłą nateżenia woli zmniejszało się istotnie.

Tego rodzaju doświadczenia pozostaną zawsze tylko przywilejem niektórych i mają jedynie znaczenie naukowe. Jeżeli wykazują potęgę autosuggestyi, wskazują również, z jaką delikatnością należy się posługiwać siłą, mogącą wywoływać tak zdumiewające i ważne zmiany w organizmie. Dla ludzi zwykłych, trudniejszą do urzeczywistnienia będzie suggestya umysłowa, a nawet w celu osiągnięcia rezultatów prostych pozornie, np. dla melancholika stać się wesołym, dla próżniaka pracowitym, dla namiętnego rozsądnym i t. d. Suggestya taka wymaga woli; gdyby ci ludzie ją mieli, nie potrzebowaliby się uciekać do autosuggestyi. Nadto, naprężenie podobne umysłu jest zawsze męczące i przykre, może wywoływać zaburzenia nerwowe osób, które go nadużywają, lub mają specjalne usposobienie w tym kierunku.

\* \* \*

To też o wiele więcej jest pożądaną metodą prostszą, polegającą na mechanicznym, machinalnym powtarzaniu głośno suggestyi upragnionej, metoda nie wymagająca ani wysiłku, ani nateżenia umysłu.

Jeżeli dany osobnik lepiej zatrzymuje obraz wzrokowe, niż słuchowe, należy działać przy pomocy wzroku. W ten sposób postępowałem z dobrym rezultatem, — mówi autor — z pewnym hypochondrykiem, zalecając mu napisanie codziennie na murze fosforem: „Jestem wesoły“ i zasypianie z oczyma w ten napis utkwionymi.

Przedewszystkiem należy znać dobrze charakter własny. Jeżeli ktoś ma wrodzonego ducha posłuszeństwa, powinien dawać sobie rozkazy: „Zrób to, lub tamto.“ Osoby z wolą silnie wyrobioną, mogą powtarzać tylko „Chcę.“ Osoby łatwowierne zamiast mówić: „Chcę być pracowitym, chcę być rozsądnym, chcę być wesołym,“ — powinny wmawiać w siebie: „będę pracowitym, będę rozsądnym, będę wesołym.“

Ostatnia uwaga: autosuggestya, podobnie jak heterosuggestya nie wywołuje natychmiastowego rezultatu. Np.: jeżeli ktoś wmawiając w siebie, że nie cierpi, czuje ból ciągle, nie powinien upadać na duchu i sądzić, że

wysiłki jego są daremne; przeciwnie, po pewnym przeciągu czasu spostrzeże, że cierpienie rzeczywiście istnieć przestało.

Osoby odporne autosuggestyi zwyczajnej powinny się uciekać do środków pośrednich, powinny mowę, wyraz twarzy, naginać do uczuć, jakie w sobie wywołać pragną. Jeżeli ktoś chce pozbyć się smutku, powinien śmiać się, spiewać, nucić wesołe piosnki, z początku z przykrością, aż wreszcie przyjdzie prawdziwa wesołość. Udawane przez czas dłuższy uczucie, w rezultacie rzeczywiście w nas się rozwinie. W pewnych wypadkach należy się uciekać do czynów łatwych do spełnienia związanych z tymi, do których przyzwyczaić się chcemy. Pragniemy wstawać wcześniej, ale lubimy ten półsen błogi, trwający nieraz całe godziny, nie mamy siły wyskoczyć z łóżka. Wystarczy położyć przy sobie książkę nader zajmującą: gdy tylko oczy na niej spoczną, zaczynamy czytać, sen ulata, jesteśmy w możności podnieść się natychmiast.

Niektórzy uciekają się do pomocy drugich dla podniecenia woli. Pewien genialny muzyk, mając sobie zalecone kąpiele morskie, gdy mu brakowało odwagi wskoczenia do wody i bezradny stał nad brzegiem, poprosił przyjaciela, aby go popchnął silnie. Ten bodziec wystarczył zupełnie; odtąd w braku towarzysza przy sobie za kilka centymów lada spotykany chłopak tej funkcji dopełniał.

Alfieri, zakochawszy się, nie był w możności powstrzymać się od odwiedzania kochanki, a że tego koniecznie pragnął, kazał służącemu przywiązywać się do krzesła.

Są to jednak raczej przymusowe półśrodki, często śmieszne, niż autosuggestya we właściwym tego słowa znaczeniu. Autosuggestya, — pomijając podobne eksperymenty, pozwole w pełnej świadomości dopełniać zamierzonych czynów.

Nauki najbardziej pozornie spekulatywne, zawierają w sobie tysiączne sposoby zastosowań praktycznych, dostępnych dla nas dopiero wtedy, kiedy dojdą do pewnej, należytej ewolucyi; psychologia nie będzie wyjątkiem, nauczy nas kiedyś kierowania i władania nami samymi; autosuggestya jest pierwszą i pewną zdobyczą w tym kierunku.

Tłóm. Władysława Zarembina.



Aniela Tripplinówna.

## Z pobytu na dalekim szlaku.



(Ciąg dalszy).

Zobaczmy, jakie są wymagania Turka, a w szczególności więcej jeszcze podróżującego Araba. Arab chrześcijanin, pomimo wychowania pobieranego u księży francuzkich lub w pensjonacie angielskim, przedewszystkiem marzy o *dolce far niente*; cokolwiekbądź robi, musi mieć trud swój ułatwiony do *minimum* i wydatek obniżony też do *minimum*. Wyjeżdżając z domu bez żony, potrzebującej kilku kufurów dla swych szat, Arab, choćby się wy-

bierał na czas dłuższy, obarcza się tylko małym sakwożadem, z odzieżą i kilku sztukami bielizny. W domu zajezdnym powinien znaleźć wszystko, co Europejczycy z sobą wożą, i tak: pantofle, szlafmycę, szczotki, grzebienie, mydła kilkorakie, proszek do zębów, olejek wonny do włosów, *narghileh* (karafkę z długim cybuchem do palenia tytoniu), papier listowy, koperty, świece, trzy lampy—dwie naftowe i małą nocną na oliwie. Wypalać może nafty, gazu, oliwy, świec, wiele chce. Ma prawo do trzech świeżych ręczników codziennie, do świeżej pościeli co tydzień, do trzech kołder, z których jedna musi być jedwabną, leciutką na dni upalne, do tiulowej kotary nad całym łóżkiem. Za to wszystko proszę zgadnąć, co płaci Arab—a dodaję od razu, że pokój jest widny, obszerny, bardzo wysoki, elegancko umeblowany, zaopatrzony w lustra, szafki, umywalnie, komody, stoliki do pisania, parawany. Otóż za to wszystko płaci Arab franka dziennie z usługą. To się wydaje nieprawdopodobnym, boć same dodatki u nas więcej, niż franka kosztowałyby musiały. A jednakże jest to taksa ustanowiona, przyjęta powszechnie, i tak wiadoma, że jej zmienić nie wolno dla bogaczy, ani dla dygnitarzy. Przyjeżdża np. z Konstantynopola wielki wali generał-gubernator) z rodziną całą do Damaszku, telegrafuje o apartament; przygotowują dla niego cztery pokoje z dwunastu łóżkami, piąty pokój wypróżniają z łóżek i transformują na salon. Taki dygnitarz przed wyjazdem żąda rachunku i płaci tak samo, jak każdy prosty śmiertelnik, po franku od łóżka i cztery franki za salon, bo w nim stały cztery łóżka. Mowy niema o podniesieniu ceny. Jeśli generał-gubernator jest gentelmanem, jak nim jest Nazim-basza, obecnie rezydujący w Damaszku, zdaje sobie sprawę z ambarasu, na jaki naraził wynoszeniem mebli, urządzeniem salonu, odstępowaniem kuchni na mahometkańskie gotowanie i ofiarowuje kosztowny klejnot gospodyni domu, hojnie obdarza kassjera i służbę, lecz żądać nie wolno *nic*, po nad franka od łóżka.

Otóż wyraz *łóżko* rozwiązuje zagadkę legendarnej taniości. Tutaj przyjezdny nie prosi o pokój, ale o łóżko, lub tyle a tyle łóżek, jeśli przybywa z rodziną. My, Europejczycy, otwieramy na raz oczy, uszy i usta na zapytanie o łóżko. Dla nas kobiet w szczególności, tkwi w tym ustroju coś tak dziwnego, barbarzyńskiego, iż niema wypadku, żeby którakolwiek z nas zamieszkała z osobą innej narodowości, innych obyczajów, lecz panowie powoli nawykają do wspólności pokojowej. Nieraz widywałam Anglika, Rossyjanina, Francuza, wychodzących z sypialni, gdzie nie rozumiejąc ani jednego arabskiego słówka, nocował z Turkiem i dwoma Druzami. Kobiety miejscowe najsędziwszego wieku nigdy nie podróżują same, a raczej bez mężczyzny, choćby ich przodków był ochrzcił sam św. Piotr przed odpłynięciem do Rzymu, lecz Europejki i Amerykanki niższej sfery, cyrkowe i baletowe artystki, zgadzają się nieraz przez oszczędność, na wspólność noclegu. Szczęściem posiadają hotele i mniejsze pokoiki o dwóch łóżkach—przedstawia się zatem możność najęcia pokoiku osobnego za 2 franki dziennie dla kobiety samotnej. Zawsze

ta pseudo-drożyna jeszcze taniej wypadnie, niż ulokowanie się w hotelu europejskim, gdzie 10 franków dziennie trzeba wydawać, tem bardziej, że nałożone są więzy t. zw. pensyi. W arabskiej lokandzie (jak tu hotel nazywają) swoboda zupełna. Jest restauracya, zwykle bardzo dobra, lecz wolno jeść, nie jeść,—robić, co się żywnie podoba. Ceny potraw bardzo umiarkowane. Najdroższa porcja mięsa z ryżem, makaronem lub innym dodatkiem pół franka, porcja ryby morskiej 30 centymów, jarzyny, przeróżne tutejsze potrawy narodowe po 25 centymów francuzkich, ogromny talerz sałaty 15 centymów. Za franka obfity obiad lub też śniadanie francuzkiego albo wschodniego stylu, za 3 franki całodzienne utrzymanie w rodzaju pensyi, jakiego się niema we Francyi i Szwajcaryi, płacąc 7—9 franków. Pomimo tej cen dobroduszości, że się już tak wyrażę, tutejsza oszczędność sięga tak daleko, że często jeszcze zamężni obywatele libańscy i przemysłowcy przybywają obładowani prowizjami i oprócz kawałka gorącego mięsa, filiżanki czarnej kawy, niczego nie żądają z restauracyi. Napiwków służbie prawie nie dają—chyba podczas weselnych godów. Właściciel lokandy i na to patrzeć musi z pobłażaniem, chociaż żywi i opłaca liczną zgraję saistów (lokajów) na których wciąż mężczyźni dzwonią z powodu *narghileh*, wymagających czyszczenia i świeżej wody.

Właściciel spogląda na wszystko z pobłażaniem—i na stłuczoną karafkę, i na spaloną kołdrę. Czem to objaśnić? Tem, że pomimo cen umiarkowanych, śmiesznych prawie, o ile dom jego jest ciągle zapełniony, on jednak w tempie *allegro* robi majątek. Tak, robi majątek, robi go dzięki bajecznie niskiej cenie mieszkań, artykułów żywności, mebli, materiałów, honorrarium służby męskiej. Dla Turcyi cło nie istnieje—jedwabne materye, za które Francuzka w Lyonie płaci 7 franków, tam nabędzie za trzy i pół, cukier, który Włoch frankiem opłaca w ojczyźnie, tam dostanie za 30 centymów, a wszystko, co góry, doliny, lasy i morza rodzą i dostarczają, jest na targu tak nieprawdopodobnie tanie, że restaurator kupiwszy ryb za franka, może jeszcze 13 franków na tym jednym franku zarobić, a nabywszy 12 przepysznych głów sałaty za susa, jeszcze na parcelacyi tej sałaty zarobi dziesięć franków. Chleb z kukurydzy jest także za bezcen, stosunkowo pieczywo europejskie trochę droższe, lecz w każdym razie dużo tańsze, niż u nas.

Wracając do tego, podług nas dziwnego obyczaju, najmowania łóżka w pokoju hotelowym i koniecznego ztąd obcowania z ludźmi nieznanymi, Europejczykowi wydaje się z początku, że taki stan rzeczy narażać musi na różne przykrości, kradzieże, niebezpieczeństwa, tymczasem rzeczywistość przedstawia się zupełnie inaczej. Bardzo rzadkie są nieporozumienia lokatorów pomiędzy sobą, a bynajmniej nie zdarzają się wypadki wzajemnego okradania. Czujność szwajcara, siedzącego u drzwi wchodowych, jest nadzwyczajna, nie wypuści nikogo z workiem podróżnym bez zapytania przez tubę, azali wszystko jest w porządku. Ulotnienie się nocne jeszcze mniej jest prawdopodobne.

O godzinie 11-ej z wieczora wszystko jest zamknięte. Na każdym piętrze saïs zamyka na klucz drzwi od sieni i klucz pod groźbą kary więziennej aż do wschodu słońca musi piastować na sercu. Otwiera tylko tym, którzy później do domu wracają,—wypuścić na ulicę nie może już nikogo.

Cudzoziemcom świeżo przybyłym i wyrażającym zdziwienie i niezadowolenie z powodu takiego urządzenia, miejscowi z równem zdziwieniem odpowiadają: „A jakże pan jechałeś z Francyi koleją i okrętem. Czy miałeś osobny pokój dla siebie samego?“—„No nie, sypiałem z trzema pasażerami w kajucie.“—„Z pasażerami, których pan nie znał poprzednio, czy tak?“—„Tak.“—„Więc to jest absolutnie to samo, co pana u nas doprowadza do takiego wzburzenia, z tą tylko różnicą, że wagony i okręty są w ruchu, a domy stoją na miejscu.“—„Tak,—broni się cudzoziemiec,—ale na okręcie czy w wagonie abdykuję z wygody, wiem, że jestem w podróży, w hotelu zaś chcę mieć wygodę!“—„My—odzywa się Arab,—uważamy, że ją mamy w zupełności, choć ktoś spi na drugim, trzecim i czwartym łóżku, bo co nas obchodzi śpiący mężczyzna. W dzień, o ile jesteśmy w domu, wolimy mieć towarzystwo, można pogawędzić, zagrać w szachy lub karty. Wszystko się między nami odbywa grzecznie, zgodnie, przyzwocie, choć czasem na jednym łóżku spi ksiądz grecko-katolicki, a na drugim imam turecki. Jeżeli czasem trafimy na mahometanina, który zbyt głośno wypiewuje swoje modlitwy i mamroce różańcowe pacierze, to się trochę poczubimy przed wschodem słońca, a po wschodzie, około godziny 9-ej, prosimy o zmianę lokatora, czego nam nasi poczciwi gospodarze nigdy nie odmawiają.“—„U was—odzywa się drugi Arab,—to właściciel hotelu jest jakimś bóstwem tajemniczym, do którego dostać się trudno, u nas przeciwnie, to opiekun, anioł-stróż podróżników. Do hotelu jedziemy, jak do drugiego naszego domu. Przyjechawszy, zrzucamy ubranie, jak w domu, kładziemy szlafrok, pantofle i tak sobie wchodzimy do salonu. Tymczasem u was, w Europie, niech nas Allah zachowa od podobnej myśli—już mi przecie w Paryżu na kurytarz nie pozwalano wychodzić w szlafroku.“

Ponieważ w Beyrucie najlepszy, olbrzymi hotel arabski, w którym mnie pomieścił doktor de Brun, należy do Francuza, inżyniera Bezil, który budował arcytrudną koleją Libańską, przeto jest on znakomicie urządzony, zarówno dla Europejczyków, jak i dla miejscowych podróżników, którzy się tak dobijają o miejsce w t. zw. amerykańskiej lokandzie, że nieraz ośm osób sypia na czterech łóżkach, byle tylko zamieszkać nie gdzieindziej, tylko pod dachem Abu Bezillo (Ojca Bezillo). Dzięki temu ubóstwieniu dla właściciela lokandy, miałam sposobność poznać nie tylko masę osób z towarzystwa tureckiego i arabskiego, lecz i najwyższych postawionych dygnitarzy, najdostojniejszych patrycyuszów Libanowych, najbogatszych finansistów i przemysłowców i damy z najwykwintniejszego kółka. Więcej daleko słuchałam, niż mówiłam. Tak mało bowiem jest przyjęte na Wschodzie, aby się kobieta mieszała do rozmowy męskiej, że nie

## Głos z prowineyi.



Przeczytałam w numerze 37-ym „Bluszczu“ artykuł p. t. „A u nas?“ i doznałam ulgi, że zabrano głos w kwestyach, tak bardzo nas obchodzących.

Na prowincyi działalność społeczna i filantropijna słabo dotąd pulsuje, ale przecież daje oznaki życia. W przyszłości wspólną pracą sprawimy, że silnem zabije tętnem.

Do rozwoju pracy ogólnej przeszkadza nam nie brak dobrych chęci i serca, nie brak pieniędzy, lecz małe przyzwyczajenie do interesowania się pomyslnością ogółu i małe wyrobienie umysłów w tym kierunku.

Mamy dużo ludzi szlachetnych, odczuwających nieszczęścia ogółu, lecz ci nie widząc możliwości zaradzenia złemu samodzielnie, w poczuciu bezsilności, starają się o tem nie myśleć. Bo i cóż może uczynić jednostka, choćby najlepszymi obdarzona chęciami?

Gdybyśmy przywykli do wypowiedziania otwarcie naszych pragnień, dowiedzielibyśmy się, że jest wiele osób ożywionych ideą ogólnego dobra, które wspólnie mogłyby wytworzyć siłę zaradzającą złemu.

Od nas zależy uświadamiać się wzajemnie, gdyż ludzie pragną dobrze czynić, tylko nie wiedzą w jaki sposób. A mamy bardzo wiele do roboty!

Artykuł wspomniany powyżej, upoważnił mnie do zwrócenia się do Szanownej Redakcyi „Bluszczu“ z prośbą o nadmienienie w tem piśmie, że prowineya pragnie podążyć za przykładem Warszawy i o ile to jest w jej możliwości, rozmyśla nad leczeniem ciężkich bolączek życia.

Oto po kilku latach starania, Radom uzyskał pozwolenie na utworzenie Towarzystwa Opieki nad umysłowo chorymi. Zebrała się garstka ludzi dobrej woli i zaczęła składać datki na przytułek dla obłąkanych.

Towarzystwo to młode, bo zaledwie istniejące od trzech miesięcy, dotąd ma członków niewielu, ale gdy wieść o przedsięwzięciu dojdzie do wiadomości ogółu, niewątpliwie liczba członków szybko wzrastać będzie.

Pragniemy stworzyć schronisko, gdzieby nieszczęśliwi paryasi, przynoszący otoczeniu tak wiele szkód moralnych i materyalnych, mogli znaleźć odpowiednią opiekę.

Zatem serdecznie proszę Szanowną Redakcyę „Bluszczu“ o przedstawienie czytelnikom i czytelniczkom, że pomoc ich w tej sprawie jest potrzebną. Gdyby każdy z mieszkańców gubernii Radomskiej ofiarował tylko drobną summkę corocznie, prawdopodobnie wszyscy obłąkani mogliby się znajdować w bezpiecznem schronieniu.

Gdyby każdy osobnik, urodzony w gub. Radomskiej, a mieszkający w odległych stronach świata, zechciał nadesłać drobny datek dla rodzinnej okolicy, jakże prędko osiągnęlibyśmy cel upragniony!

Zwracam się z prośbą tylko do Radomian, dlatego, że w duszy mojej żywie gorące pragnienie, ażeby w każdej gubernii mogło się utworzyć podobne schronisko.

Dotąd tylko Warszawa, Łódź i Kalisz wzniosły odpowiednie zakłady, więc pozostałe mia-

sta mają przed sobą zadanie zjednoczenia wspólnych sił w celu przyniesienia ulgi nieszczęśliwym.

W Radomiu Towarzystwo Opieki nad obłąkanymi zawiązano, od poparcia ogółu zależy jego dalsza działalność.

Mamy dużo potrzeb, a nie wiele pieniędzy! Więc chcąc jedno z drugim pogodzić, dajmy datki drobne, ale oprócz tego starajmy się nakłaniać wszystkich, ażeby przyczyniali się do ogólnego dobra. Jeżeli nie mamy wśród nas bogacza, któryby mógł jednorazowo ofiarować na cel publiczny 10,000 rubli, to prosimy dziesięć tysięcy osób, żeby dały po rublu. Rezultat będzie ten sam, tylko więcej ludzi dobrej woli potrzeba przyzwać na pomoc.

A czyż zabraknie nam do tego energii? O, napewno nie! Pomimo ciężkich trosk i niepomyślnych obecnie przeżywanych czasów, stawi się dosyć ludzi do czynu!

Niech tylko jeden i drugi przyłoży rękę do dzieła, a przykład znajdzie licznych naśladowców i każdy zechce do wznoszonego gmachu dołożyć jedną cegielkę, lub bodajby tylko okruszynę piasku.

A więc podajmy sobie dłonie i wspólnymi siłami starajmy się zaradzić złemu! Pole do pracy szerokie, pracownicy się zgłoszą, należy tylko trącić dobrą strunę w ich sercach, a zrodzi się — czyn.

Stefania Bijeko.

Radom, dnia 13-go Września 1905-go r.



## Szkoły mieszane amerykańskie.



(Dokończenie).

A wielkie, bogate miasta, np. takie Chicago! Szkoły tameczne to istna kraina czarów i cudów!

W jednej z odległych dzielnic miasta — tuż nad brzegiem jeziora wznosi się bajeczny rozmiarami i przepyszny, jako architektura pałac — Instytut miasta Chicago. Jest to prywatny zakład naukowy, składający się z dziecięcego ogródka, szkółki początkowej, szkoły gramatycznej, szkoły wyższej (High-school), instytutu nauczycielskiego, letnich kursów dla nauczycieli i nauczycielek i kursów publicznych (*university extension*).

Sam budynek odznacza się niezwykle piękną linią architektonicznych i ornamentów; Instytut posiada bibliotekę z wcale skromną liczbą 15,000 tomów, wspaniałe laboratoria, gabinety, muzea, a nawet olbrzymi basen do pływania, place do obowiązkowych gier i gimnastyki, ogrody i ogromny park. Za Instytutem zaś ciągną się sławne parki miejskie, mieniące się tęczowemi barwami najcudowniejszych kwiatów i słynne w całej północnej Ameryce ze swych skarbów zoologicznych i botanicznych.

Do Instytutu wstępują dzieci — dziewczęta i chłopcy, w piątym roku życia. Ku wygodzie młodszej dziatwy zbudował Instytut na-

chcąc się narazić na nieuprzejmą uwagę, na sarkastyczny sąd o niższym, pośledniejszym gatunku mózgu niewieściego, wolałam od razu broń złożyć i przemawiałam tylko, o ile mnie panowie sami do tego zniewalali. Godzinami całymi jednakże przesiadywałam w salonie, przysłuchując się rozmowom, a raczej sprzeczkom Arabów chrześcijan z cudzoziemcami, tak, powtarzam, raczej sprzeczkom, bo są oni równie zaczepni, jak zarozumiali, próżni i chępliwi.

Ze smutkiem sprawdziłam, o ile wyżej umysłowo i moralnie nawet stoją Turcy postępowi, Turcy przedstawiający opozycję i żądający reform. Nie tylko mężczyźni, ale także kobiety z ich obozu o całe niebo aspiracyami, poglądami, sposobem życia, działalnością, prześcigają Arabki-chrześcijanki.

Są pomiędzy nimi takie, które nie tylko pragną zerwać z haremowem lenistwem i *dolce far niente*, lecz już z niem zerwały i dzielnie pracują w tym samym klimacie, o którym Arabki w klasztorach najprzykładniej wychowywane, twierdzą, że osłabia i uniemożliwia wszelkie zajęcia. Pod względem uczciwości ze smutkiem także konstatujemy, nie tylko my, cudzoziemcy, lecz i wychowawcy tutejszych młodych pokoleń, że mahometanie zawstydzają katolików, że słowo mahometzańskie jest słowem zobowiązującym, na które liczyć można. I rozmowa z Turkami jest dużo przyjemniejsza, niż z Arabkami, bo Turek pewnej sfery odznacza się rycerskością europejską dla cudzoziemek i uprzejmą powściągliwością w rozmowaniu z mężczyznami, nawet wtedy, kiedy nie podziela ich zdania.

Arab unosi się, chce imponować swoją wyższością, wlicza wielkie czyny swoich przodków i często występuje z całym arsenałem impertynencji. Nic mu nie przeszkadza owiadczyć: „Państwo macie za mało zdolności, aby się wyuczyć języka tak bogatego i trudnego, jak nasz język arabski,“ lub też: „Co tu mówić o chrystyanizmie waszym francuzkim, wyście leżeli, spowici w więzach poganizmu, kiedy my ochrzczeni za czasów Apostolskich, świat cały oświecaliśmy naszymi koncyliami, odbywanymi w Antyochii, Efezie, Nicei, Damaszku — wielkich świętych i pisarzy kościelnych wydawaliśmy, i ośmiu papieży, tak ośmiu syryjskich papieży ofiarowaliśmy Rzymowi!... Państwo za mało znacie historię, żeby to wiedzieć. My, chociaż w następstwie przyjęliśmy nazwę Arabów, pochodzimy właściwie od różnych narodów, które o cudowny nasz kraj walczyły, krew różnych ludów płynie w naszych żyłach i dlatego odziedziczyliśmy zdolność do wszystkiego. Nie masz narodu świetnie obdarzonego, niż my, Arabowie syryjscy. Zapytajcie naszych wychowawców: Amerykanów, Anglików, Lazarystów, Jezuitów!“

(Ciąg dalszy nastąpi).



wet własną kolejkę do oddalonych dzielnic miasta.

Na czele zakładu stoi znany w całej północnej Ameryce i wielce zasłużony professor Francis Parker, jeden z najgorliwszych rzeczowników systemu wspólnej nauki. Zewnętrzna wspaniałość, rozmiarami i bogactwem przewyższa niewątpliwie Instytut chicagowski wszystkie amerykańskie zakłady naukowe.

Charakter szkoły atoli jest ten sam, taż sama wspólna we wszystkich oddziałach nauka, ten sam ożywczy, życiodajny duch, metoda pogładowa, niesłychana troskliwość o higieniczną stronę wychowania, wyrobienie rygoru i poważania dla rozumnej, celowej pracy.

Kształcąca się w Chicago młodzież, korzysta bezpłatnie ze wszystkich galeryi i muzeów miasta. Spotyka się ją też nader często w przybytkach sztuki, gorliwie zajęta kopowaniem pomników, obrazów, zabytków archeologicznych, o których mówili profesorowie. I w okolicach miasta można również widzieć gromady studentek i studentów zajętych pracami geologicznymi.

Patrząc na te młode, świeże, energią i powagą tchnące twarze, nasuwa się mimowoli myśl, że te śliczne, kobiece główki w danej chwili nie o fircie i nie o zalotności marzą. Nęci ich młoda wyobraźnię życie czynu, wielki ideał samodzielności, na rozumnej oparty pracy.

## II.

Niewysłowiona siła i powaga bije od szkoły amerykańskiej. Potężną falą płynie w niej życie i szeroką po całych Stanach rozlewa się rzeką.

A jednak nie jeden wykształcony i nawet postępowy Europejczyk z systemem wspólnej nauki pogodzić się nie może; widzi w niej jedynie charakterystyczną anglo-saksońską praktyczność, stawianie i utrzymywanie jednej szkoły zamiast dwóch, czyli proste wyrachowanie. O dodatnich zaś moralnych wynikach, zwłaszcza dla dziewcząt, mocno powątpiewa.

Francis Parker, długoletni i wytrawny pracownik na niwie pedagogicznej, zupełnie uspakajającą pod tym względem daje nam odpowiedź. Zdanie zaś szanownego pedagoga potwierdza nader bogata i poważna literatura pedagogiczna, badająca wyłącznie żywotną kwestyę wspólnej nauki.

Punktem wyjścia tego systemu były niewątpliwie pobudki natury ekonomicznej; reforma atoli dała i pod względem moralnym tak wspaniałe rezultaty, że bronią jej dzisiaj zasadniczo nawet tam, gdzie materialne środki na otwarcie oddzielnych szkół męzkich i żeńskich pozwalają.

Ogródki dziecięce, szkoły początkowe, średnie i średnio-wyższe (high-school) przyjęły wszystkie system nauki wspólnej. Od 5—18 roku życia uczą się chłopcy i dziewczęta razem, a obecnie wkracza zwycięzko nowy system i do najwyższych szkół, do uniwersytetów, seminariów i kollegiów. Reforma, jak każda reforma, dokonywała się stopniowo, drogą powolnej ewolucyi, i w zwyciężkim swym pochodzie z niejednym przesądem, z jedną przeszkodą za bary brać się musiała.

Przeciwnicy nowego systemu bronili rzekomo zdrowia i duszy dziewcząt.

Przyszła żona i matka nie może bezkarnie przepracowywać się umysłowo, nadwierać swych sił zbyt ciężką gimnastyką, a ciągle obcowanie z chłopcami zaciera w dziewczynce kobiecy wdzięk i przedwczesną, niezdrową budzi w niej zalotność. Bezstronnie a głęboko w istotę rzeczy sięgający sędziowie, rozstrzygnęli poważną i delikatną tę kwestyę ku zupełnemu zadowoleniu reformatorów.

W istocie, doświadczenie przekonało, że wspólna nauka bynajmniej na obyczaje młodzieży ujemnego nie wywiera wpływu. Przeciwnie nawet. Chłopcy nabierają tak potrzebnej w życiu delikatności i rycerskości względem słabszych istot, zatracają wrodzoną skłonność do rubasznosci i brutalności, a dziewczęta, oswojone z obecnością młodzieży, z którą je łączy wspólny naukowy cel, poważniejszą i o zdobywaniu hołdów nie myślą. Zdarza się wprawdzie, że psotny Kupidyn i tu od czasu do czasu w młode godzi serduszka, lecz życie przekonało nas chyba niejednokrotnie, że zabezpieczoną od jego pociśków nie jest i młodzież, uczęszczająca do oddzielnych szkół męzkich i żeńskich, a spotykająca się na ulicy, w domu rodzicielskim, u przyjaciół i t. d. W dodatku, wiośniane te uczucia w nader rzadkich tylko wypadkach zatracają czysty, poetyczny swój charakter.

W Ameryce czuwają nad kobietą: prawo, stanowisko, które ona zajmuje w społeczeństwie, szacunek mężczyzny dla ludzkiej indywidualności i potęga opinii publicznej.

Najlepszymi sędziami i szkoły, i wpływu jej na charakter dzieci muszą być chyba rodzice — a oni stanowczo przemawiają za systemem wspólnej nauki.

Wymownym tego dowodem potężnie wrażliwa z każdym rokiem w Ameryce liczba zakładów nowego typu.

W rodzinie nasze dzieci wychowują się razem, w towarzystwie również chłopcy i dziewczęta na każdym spotykają się kroku. Dla czegoż mieliby się rozłączać w szkole? Czyż nie czuwa nad nimi oko rozumnych, doświadczonych, o dobro ich dbałych pedagogów?

Poważna atmosfera wiedzy i pracy stokroć mniejszem grozi niebezpieczeństwem od balowej sali i rozmarzającej, upajającej duszę muzyki walca! W szkole przyszli małżonkowie patrzą na siebie z punktu widzenia rozumu i charakteru, poznają się zatem z tej strony, która w przyszłym jej życiu najważniejszą grać winna rolę.

Dopuszczone pod naciskiem opinii ogółu do niższych i średnich szkół męzkich, amerykańskie dziewczęta przekonały świat, jak dalece płonne były obawy co do moralnej ujm, jaką im szkoła miała wyrządzić. Upadł również i drugi zarzut — zgubny wpływ szkoły na fizyczne siły kobiety.

Ameryka wyrugowała szablony ze swych szkół; jej dążeniem jest przysposobienie w szkole ludzi do praktycznego życia, do rozumnego i celowi odpowiadającego wykonywania obowiązków, które społeczeństwo i natura na człowieka nałożyły.

Program szkolny nie przeciąży żadnego dziecka umysłową lub fizyczną pracą. Zresztą rodzice, lub opiekunowie obierają sami dla

swych dzieci nauki i praktyczne zajęcia, które najbardziej uzdolnieniu i siłom ich syna lub córki odpowiadają.

Dziewczęta bez przymusu, dobrowolnie zajmują się poważniejszymi naukami w zakresie programu szkół męzkich, nie dają się wyprzedzać w postępach kollegom, a zdrowe rumieńce na twarzy, energia i wesołość, które je cechują, rozpraszają wszelkie w tym względzie wątpliwości.

I w szkołach amerykańskich spotyka się niewątpliwie od czasu do czasu wątle, anemiczne dziewczętka. Są to atoli wyjątki — bardzo nieliczne w porównaniu z tem, co się dzieje w naszych wyłącznie żeńskich szkołach. W Stanach Zjednoczonych zwierzchność szkolna zwraca baczną uwagę na każdą jednostkę, oblicza jej siły i na słabsze barki lżejszy wkłada ciężar.

## III.

W roku szkolnym 1897—98-ym Stany Zjednoczone liczyły 72,737,100 mieszkańców, a w tej liczbie 16,687,643 uczących się, czyli 21,46% całej ludności.

Nader ciekawym i charakterystycznym jest stosunek, w jakim młodzież uczęszcza do szkół; szkoły początkowe i średnie niższe (grammar school) liczą około 15,000,000 wychowanców i wychowanek, średnie wyższe tylko 626,115, a najwyższe zaledwie 228,827.

Państwo jest niepodzielnym właścicielem i organizatorem szkół niższych, w średnich wyższych i najwyższych natomiast występuje inicjatywa prywatna.

Zarówno państwo, jak społeczeństwo, łożą hojnie na wykształcenie i wychowanie młodego pokolenia. W r. 1899-ym np. utrzymanie szkół w Stanach Zjednoczonych kosztowało ni mniej, ni więcej, jak 194,020,470 dolarów!

Aby należycie wykształcić i wychować tę kilkunasto-milionową rzeszę dziatwy i młodzieży, musi też, rzecz naturalna, istnieć olbrzymia, regularna, uzdolniona i wyćwiczona armia pedagogów. I w istocie, imponuje ona nie tylko wyrobieniem, ale i liczbą, która przewyższa wojenne siły Ameryki. Na niwie pedagogicznej pracuje w Stanach Zjednoczonych 409,193 osób, a procent kobiet nauczycielek równa się 68%. Jeżeli zatem jest prawdą, że pruski nauczyciel zwyciężył Francję pod Sedanem, amerykańska nauczycielka śmiało o sobie może powiedzieć, że darowała Ameryce Kubę i rok rocznie obdarza swą ojczyznę zastępem zdrowych, silnych, do życiowej walki znakomicie przysposobionych obywateli.

O zasługach i uzdolnieniu kobiety w tym kierunku świadczy wymownie statystyka narodowego wykształcenia. W Ameryce liczba kobiet-pedagogów rośnie z każdym rokiem; w r. 1879-ym było w Stanach Zjednoczonych 163,789 nauczycielek, a w r. 1899-m 277,443 — czyli przeszło dwie trzecie całego professor-skiego personelu.

W niższych, początkowych szkołach panuje wszechwładnie system wspólnej nauki, zyskał on również prawa obywatelstwa i w średniej wyższej szkole, w której młodzież przebywa do 18-go lub 19-go roku życia.

W roku 1899-ym na 5,109 szkół średnich,



liczono w Stanach już tylko 35 wyłącznie żeńskich, a 26 wyłącznie męzkich. Wszystkie inne przyjęły system wspólnej nauki.

Przeciętny Amerykanin nie odznacza się zapalem do wyższych studyów uniwersyteckich. Po ukończeniu średniej fachowej szkoły, przystępuje niezwłocznie do *business'u*, do praktycznej zarobkowej pracy. Zaledwie 18% mężczyzn, a 10% kobiet z high-school przechodzi do uniwersytetów. W średniej, przygotowawczej szkole natomiast dziewczęta górują nad kolegami, i liczbą i postępami w naukach.

Od niedawna wprowadzono również system wspólnej nauki, jako najlepszy i najpraktyczniejszy do kolegów i uniwersytetów. Wyłącznie żeńskie lub męskie uniwersytety należą już dzisiaj w Stanach Zachodnich do nader rzadkich wyjątków, a nieliczne wszechnicze, dotąd zamykające swe podwoje kobietom, ani pod względem liczebnym, ani w kierunku naukowym do najpierwszych nie należą.

Przyływ elementu kobiecego uwydatnia się zwłaszcza na wyższych, specjalno-fachowych wydziałach. Kobiety w Ameryce gorliwie studyują medycynę, prawo, ostatnimi czasy nawet i teologię. Mniejszem powodzeniem cieszą się natomiast nauki natury czysto filozoficznej. W ogóle najtrudniej było kobiecie zdobyć w Ameryce uniwersytet. Walka toczyła się nie tyle ze starymi przesadami, ile z niechęcią studentów, którzy lękali się współzawodnictwa kobiety na polu pracy naukowej.

Badając głębiej ducha i charakter szkoły amerykańskiej typu „mieszanej“, nasuwa się mimowoli pytanie: „Czy rzeczywiście wspólna nauka chłopców i dziewcząt dałaby się zaszczerpić i na naszym europejskim gruncie, gdzie samodzielność kobiet na tak niskim jeszcze znajduje się szczeblu. Reformę szkoły należałoby zatem poprzedzić gruntowną pracą nad charakterem kobiety, wpajaniem w nią od najmłodszych lat poczucia rozumnej samodzielności, opartej na poważnej pracy, a nie wyłamującej się z pod odwiecznych praw i obowiązków, które natura i społeczeństwo na nią wkładają. Zrobiło się już dużo w tym kierunku, i mamy nadzieję, że idąc drogą normalnej ewolucji urzeczywistni kobieta z biegiem czasu i postępu wielki i święty ideał — do którego dąży.

Nieodzowna potrzeba nauki rośnie z dniem każdym, podnosi się umysłowy poziom kobiety, a względy ekonomiczne przemówią może w przyszłości i u nas za wspólną nauką.

Niechże ta chwila znajdzie nasze dziewczątka należycie uzbrojone duchowo i moralnie do szlachetnego współzawodnictwa z energicznymi i silnymi kolegami.

R.



## Z listów do „Bluszczu.“



Paryż, we Wrześniu.

Deszczowe, pochmurne dni, zrzadka tylko rozżłoczone skąpymi blaskami słońca, nuda le-

tnich dni, spędzanych na wsi w zamknięciu, z widokiem smutnym na zmoczone drzewa, zaciągnięte obłokami niebo, na rozzuchwalone morze, złe, plwające pianą na przybrzeżne galety.

Wiezorami każdy z niecierpliwością czeka gazet z Paryża, tych „ostatnich wiadomości“, nad którymi później przeffilozofuje się do późnej nocy.

A dni ostatnie sporo przyniosły materiału amatorom dysput społecznych, przynosząc bogate żniwo dla rozmów i teorii socjalnych, w ciągu których cały świat się przeobraża, aby zostać zawsze jednakim.

Miliony zajęły wszystkich.

Brzęk złota dalekiego, szereg jedwabistych asygnat, olbrzymie fantastyczne summy, tańczące przed oczyma, wystrzał rewolwerowy i struga krwi, splacająca społeczeństwu dług zaciągnięty.

Samobójstwo p. Cronier, dyrektora cukrowni Say, człowieka ogólnie lubianego i szanowanego, mającego nieograniczone zaufanie firmy, rodziny Henryka Say, który stracił bezpowrotnie z 50 milionów, zmarnował własny majątek, rzuciwszy się w wir kolosalnych spekulacji.

Ucieczka Gallay'a, urzędnika Comptoir d'Escompte, sprzeniewierzającego około miliona i uciekającego na jachcie, *ad hoc* wynajętym do Ameryki, krótka, komiczna niemal Odyseja człowieka, który niezmiernie sprytnie kradł, ale nie umiał obronić się kaprysem swej kochanki.

Dramat okrutny, ciężki, smutny: ojciec rodziny, inżynier, zabijający z nędzy żonę i troje dzieci, aby w końcu paść trupem na ich ciałach.

Pieniądz, Bóg nowoczesny, Pan nad Pany, pędzi przez wszechświat demona tchem gnany, a na jego drodze wyrasta kwiat zła, leje się krew, perła się łzy, hańba i nędza plenią się, jak chwasty.

Taniec milionów.

Wśród przeróżnych specjalności naszego wieku, jedną z najwstrętniejszych jest niezawodnie owe nadmierne rozprzeźwienie się spekulacji, kolosalnych, olbrzymich spekulacji, to żonglerstwo setkami milionów, pochłaniające w krachu nagłym całe fortuny, obracające bogaczy w nędzarzy.

Gonitwa za milionem staje się dzisiaj coraz ostrzejszą, coraz naglejszą.

Wczoraj markietanka z pułku zapomnianego w prowincjonalnej mieścinie wygrywa milion.

W oknach wszystkich sklepików, jak bezustanna tentacya, rozkładają się setne bilety loteryjne, a każdy bilet obiecuje majątek.

Więc ludziska gniją się, cisną, kupują, byle popróbować szczęścia, i łatwo bez pracy wygrać wielką sumę.

Bo dzisiaj nie chcemy tych fortun zbieranych ciężką pracą przez życie całe. Miliony dobrze, czy źle nabyte, ale zdobyte jednym wielkim rzutem żagwi oslepiają tłum.

Giełda, wyścigi, Monte-Carlo, domy gry w miejscach kąpielowych zciągają tłumy. Stoły klubowe otacza co dzień zwarty szereg graczy, szukających łatwego zarobku, dającego najczęściej ruinę.

Potem w bankach, w instytucjach finansowych ci urzędnicy, marnie płatni, żonglujący milionami, w styczności codziennej z fantastycznymi obrotami pieniędzy, które leją się, jak złoty potok olbrzymi.

I przychodzi chwila, kiedy najczystsza uczciwość łamie się, kiedy jedno pociągnięcie pióra może łatwo, niepostrzeżenie część tej złotej rzeki zwrócić do głodnej kieszeni biedaka.

I fałszerstwo zrobione. A za nim idą inne, coraz więcej skomplikowane; defraudacya idzie za oszustwem, pokrywając błąd pierwszy; nieuczciwy urzędnik idzie dalej, a przed nim tańczy bachiczny, okrutny taniec, ów milion

fantastyczny, ów potok pieniężny, mający dać wreszcie życie używania, bez troski o chleb jutrzejszy.

Są tacy, którzy w szalonej gorączce spekulacji, jak ów Cronier, rzucają milionami, jak groszami, czyniąc różniceienne po 20 milionów.

A potem nitka urywa się i przychodzi krach, a za nim często idzie śmierć, a zawsze łączy pokrzywdzonych, ruina maluczkich, złamane życie tysięcy, co skromniej, w pocie czoła odkładając odejmowany od ust grosz codzienny, składali skrzętnie, by ozłocić sobie chociaż schylek życia.

Taki Jaluzot, właściciel magazynu „Printemps“, zawalił się nagle po spekulacjach na cukrze, czyniąc deficyt kilkunasto-milionowy, w około niego rozsiewa się panika, bo w magazynie „du Printemps“ była kassa oszczędności, do której grosz wdowi, ciężko zapracowany, nieśli biedacy: służba, drobni kupcy i t. d.

Szczęściem ten fundusz ocalał, ale krach cukrowy dotknął poważnie wielu zagranicznych i tutejszych kupców, czyniąc milionowe różnice.

Jaluzot utrzymuje, że stracił wszystko, że jednak żona jego jest bardzo bogatą, zostało mu na pewno jeszcze kilka milionów na otarcie łez.

Cronier zrujnował całą rodzinę Say'ów, wszystkich spadkobierców tej olbrzymiej firmy. Deficyt, który zostawił za sobą, wynosi około 50 milionów!

Na szczęście, rzec można, dotknął ten krach głównie bogaczy.

Zdawałoby się, że powinna być jakaś tama, zapora legalna, powstrzymująca nadmiar spekulacji.

Kodeks prawny posiada istotnie pewne artykuły, ograniczające niby spekulację przez monopolizowanie produktu.

Zwykle bowiem taki łakomy milionów spekulant skupuje dane wartości lub towar w olbrzymiej ilości w czasie zniżki, aby potem nagle w chwili popytu znacznie podnieść cenę i sprzedając raptownie, zyskać na różnicy.

Tak spekulowano teraz na cukrze: rachowano, że buraki nie obrodzą, że ceny cukru podniosą się ogromnie.

Stało się tymczasem inaczej. Cukier spadł, a ze spadkiem ceny, spłynęły, jak sen, olbrzymie fortuny, budowane, jak pałace z kart na kruchej podstawie hazardownych spekulacji.

Kruchy wielkich spekulantów są zawsze straszne dla ogólnej równowagi ekonomicznej kraju. Ciągną one za sobą ruinę drobnych producentów, małych przedsiębiorców, którzy jak satelity krążą w około owych wielkich słońc.

Francya częste przeżyła krachy, nie mówiąc o ruinie Panamy, o zniżce szalonej w czasie sprawy Dreyfusa, wspominając zaledwie krach kolei południowych i oszustwo Humbertów, które pochłonęło 100 milionów.

W r. 1898-ym nastąpił krach mączny, w r. 1900-ym olbrzymi krach bawełniany, rujnujący część bogaczy z Roubaix i Toureving. Prawo karze na zasadzie art. 419-go kodeksu karnego Napoleona owe nadmierne ażjoterstwo, ale przedewszystkiem żąda dowiedzenia rozmysłnego oszustwa.

A któż dowiedzie złej woli spekulantowi, który ryzykuje całe swe mienie w szalonej grze, z której może zarówno dobrze wyjść zwycięzcą, jak i zwyciężonym.

Ciekawy przykład takiego olbrzymiego *coup d'état* giełdowego mamy w historii Jay Gould'a.

Działo się to w Nowym-Jorku w 1873-im roku.

Kurs złota wynosił 140. Jay Gould postanowił sforsować kurs, o ile się da, i grać na zwyżkę.

Zaczęła się walka straszna, potworna.

W kilka godzin kurs podniósł się do 144. W ciągu jednego dnia zawarto transakcyi na sumę przynoszącą 239,000,000 dolarów. Wszystkie sprawy stanęły. Zabrakło złota w Anglii i Francji, ze wszystkich stron płynęło ono do kas Jay Gould'a.

Rozlepiono afisze, żądające zamordowania spekulanta. Jakiś giełdciarz, który kupił złota na 200 milionów, zwaryował. Innego tłum zabił.

Jay Gould zamknięty w swych biurach, strzeżonych przez uzbrojonych ludzi, jak geniusz zła, jak pajak w sieci, potężnym aktem woli zciągał miliony.

Rada ministrów została zwołana do Waszyngtonu. Panowało ogólne poruszenie i panika.

Aż nagle, zanim władze zdołały przedsięwziąć cokolwiek, Gould zmienia grę: korzystając z zastój na akcyje, których cena spadała, skupuje prawie wszystkie akcyje kolejowe.

Teraz złoto jak rosło, tak leci, spada. Krach straszny dotyka setki spekulantów, którzy pociągnięci przykładem Goulda, szli ślepo za nim.

Gould zarobił miliony, a w około niego rozległy się strzały samobójcze zrujnowanych, szlochanie dzieci, żon, wdów, biedaków zrujnowanych doszczętnie.

Tego rodzaju spekulacja dotyka i niszczy wprawdzie tylko tych, którzy rzucali się w wir gry giełdowej, albo którzy oddali swe oszczędności w ręce niesumiennych bankierów.

Wszelako jeszcze gorszą dla ogółu ludności jest akaparacyjna spekulacja na produktach pierwszej potrzeby.

Spekulacja na cukrze pociąga za sobą podwyższenie nadmierne cen cukru dla drobnego spożywcy. Toż samo się dzieje we Francji ze spekulacją zbożową, dążącą obecnie do zmonopolizowania produkcji w rękach syndykatu kapitalistycznego, który później będzie dyktował swe ceny, a ewentualnie wpłynie na nadmierną cenę sprzedaną chleba.

„Był czas—mówi Jakób Thur,—kiedy właścianin francuzki sprzedawał swe zboże za 25 franków. W owym czasie różnica pomiędzy ceną produkcji a ceną spożywczą była 10 franków. Dzisiaj mamy 20 do 30 franków. Całą zaś tę różnicę pochłania spekulant: Pośrednik.“

Rządy powinny przeciwdziałać podobnej grze obłąkanej, zwłaszcza gdy chodzi o przedmioty konieczne, jak: cukier, zboże, mięso, mąka i t. d.

Cronier grał na terminowych dostawach, obliczając ewentualność nieurodzaju.

To, co dla ogółu ludności byłoby klęską, dla niego było zyskiem.

Los chciał inaczej, sprawiedliwiej.

Cronier zaprzepścił majątki wszystkich swoich blizkich i śmiercią zapłacił swe winy.

Ten człowiek miał halucynację już nie jednego miliona, ale setki milionów. Mając miliony, grał dalej, coraz więcej, w jakiejś passyi nieopisanej, zdążając do tytułu „króla cukrowego“ całej Francji.

Gallay, drobny urzędnik z „Comptoire d'Escompte“ ma także halucynację miliona.

Cierpliwie, przez długie miesiące przekazuje pieniądze klientom banku na imię swej kochanki i „zapracowuje“ takim sposobem około miliona.

Już przedtem ma piękne mieszkanie, jada w najlepszych restauracyach, jeździ na wyścigi i samochód czeka na niego codziennie o parę ulic od banku.

Ten człowiek prowadzi ryzykowne życie podwójne: rodzina jego mieszka w Neuilly, on zaś bywa, bawi się, jako baron Grandral.

I wreszcie znika romantycznie na wspaniałym jachcie, który pólcyca w drodze aresztuje.

Epopeja krótka, skończona. A jedno podziwiać trzeba, początkowy spryt i energię tego człowieka, który spokojnie rozdwa się, żyje dwa razy, ma dwie, odrębne indywidual-

ności, umie ukryć wszystko i prowadzić tę grę podwójną, a potem głupotę, osłepienie nagłe, nieobliczenie rezultatów ucieczki.

Przez czas jakiś Gallay w salonach paryskich był przedmiotem wszystkich rozmów, miał ogólną sympatyę, wszyscy życzyli mu, aby uciekł. Ale gdy go złapano, sympatyje znikły; zdanie ogólne: „Trzeba być idiotą, żeby się dać tak złapać!“

Całe studium możnaby wysnuć z tej różnicy opinii, całe studium malujące z jednej strony powierzchowność t. zw. etyki społecznej dzisiejszej, z drugiej ową ogólną tendencją, chciwą łatwego z bogactwa się.

Nie mogąc, nie decydując się kraść samego, wielu cieszyło się, że ktoś to zręcznie, arcy-sprytnie uczynił i całą duszą współczując mu, życzyło bezkarności jego przestępstwu.

To zaciekawienie, owo rozgorączkowanie, które towarzyszyło ludziom przy czytaniu wiadomości o eskapadzie Gallay'a, pozwalało wnioskować, że każdy myślał o sobie, o tem, jakby uczynił na jego miejscu.

Wielkie oszustwa i ogromne złodziejstwa, pochłaniające poważne summy, nie wzbudzały, tu przynajmniej, ogólnego oburzenia.

Przeciwnie: podziwiano zręczność i spryt Humbertowej, zachwycano się Gallay'em, zazdrozczono Jaluzot'owi i Cronier'owi, którzy jeśli upadli częściowo czy zupełnie, rzucali milionami, przewalali się w złocie, używając go przed katastrofą pod dostatkiem.

Milion tak hypnotyzuje sumienia, że dla osiągnięcia fortuny wszelkie środki zdają się być dobre. Kradzież bochenka chleba, stare tradycyjne porównanie, jest kradzieżą oburzającą wszystkich; kradzież miliona wzbudza podziwienie, zazdrość, szacunek niemal.

Są jednak ludzie, którzy obok pogoni nieubłaganej za złotem, stawiają wyżej jeszcze swoje stanowisko społeczne.

Są ludzie, którzy zamknięci w swych klasowych kastach, wolą śmierć, niż poniżenie, niż wyjście z owych klas uprzywilejowanych.

Kronika codzienna daje mi smutną ilustrację powyższego zdania.

Wspominałem o tym inżynierze, który nie mając zajęcia, ani pieniędzy, zarzął brzytwą troje dzieci, żonę, zabijając się sam na ostatku.

Ten sam człowiek obdarzony silniejszą wolą, większą odpornością życiową, mógłby był prawdopodobnie przetrwać, gdyby porzucając swe klasowe uprzedzenia, — „zakasawszy rękawy,“ stanął u warsztatu, jako prosty robotnik.

Co go wstrzymało? Strach przed wyjściem ze sfery, w której żył i wychował się.

Toć ostatecznie zawsze coś, jakieś choćby małe zajęcie znaleźć można, ale ów strach upadku klasowego powstrzymał go i poprowadził do ohydnej zbrodni i śmierci.

Kiedym pisał „Blichtr,“ starałem się dać obraz owych wydziedziczonych, którzy straciwszy swe mienie, zehodząc materialnie do proletaryatu, życiem, stosunkami, tkwią jeszcze w artystokracji, — w „towarzystwie.“

Moi „blichtrówcy“ nie mieli odwagi owego inżyniera. Ich życie codzienniejsze; o ile mogą, starają się ożenić zamożnie lub wyjść bogato za mąż, stosunkami wyrobić sobie synekurkę, czasami w klubach za ostatnie pieniądze próbują szczęścia, pomagając mu nieraz w chwili krytycznej.

Wolą być u siebie, za zamkniętymi drzwiami służyć i pracować, ale nie wyjdą ze swej sfery, nie pójdą do warsztatu.

K. D.-S.

(Ciąg dalszy nastąpi).



## Kronika działalności kobiecej



— Finlandya. W jedynym Uniwersytecie finlandzkim, w Helsingforsie, liczba studentek dosięga 20%, a największa liczba przypada na wydział medycyny. Kobiety-lekarki w Finlandyi zdobyły sobie wielkie uznanie, władze i prywatne komitety, nader chętnie ofiarowują im tam stanowiska w szpitalach i przytułkach.

W świecie nauczycielskim procent kobiet jest jeszcze znacznie większy, 40 kobiet na 100-u nauczycieli zajmuje się nauczaniem w szkołach tak chłopców, jak i dziewczęta.

— Lipsk. W dniu 15-ym Stycznia 1906-go r. w Arwedshofie pod Lipskiem zostanie otwarta nowa, racjonalna szkoła gospodarska dla dziewcząt. Szkoła urządzona podług najnowszych wymagań pedagogiki i higieny, obejmować będzie wszystkie gałęzie, odnoszące się do gospodarstwa wiejskiego, jako to: uprawę roli, hodowlę bydła, hodowlę drobiu, nierogacizny, gospodarstwo rybne, mleczne, owocarstwo, ogrodnictwo, pszczelarstwo i t. d. Wykłady prowadzone będą przez doświadczonych, pierwszorzędných agronomów i nauczycielki. Kurs jednoroczny i dwuletni. Rozpoczyna się 15-go Stycznia, kończy 15-go Grudnia. Szkoła obejmuje też wszelkie praktyczne zajęcia w kuchni. Teoretyczne wykłady obejmują: chemię, zastosowaną do domowych potrzeb, fizykę w kuchni, higienę w całym ustroju domowym, botanikę, łatwy sposób prowadzenia ksiąg gospodarskich, śpiewy i gimnastykę. Zapisy przyjmuje pani dr. Th. Rossbach, — Arwedshof—Tautenhain, pod Lipskiem.

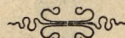
— Berlin. Wystawa higienicznych i artystycznych ubrań dla kobiet i dla dzieci.

Wielokrotnie już mówiono, że zreformowane ubiory „wyszły z mody,“ że przestały być noszone, że modnie ubierające się kobiety słyszeć o nich nie chcą i rzeczywiście, gdybyśmy zreformowane ubrania uważali za pomysły modnych magazynów, to musielibyśmy je pogrzebać i przestać o nich myśleć, albowiem te kobiety, które jedynie dla kaprysu mody przywdziały na siebie strój zreformowany, dawno już odwróciły się od niego i powróciły do dawnego sposobu ubierania się.

Lecz moda zreformowana istnieć i torować sobie drogi nie przestała i aczkolwiek z trudem, nieliczne, wciąż jednak zdobywa szere i stałe zwolenniczki,—w Niemczech zwłaszcza znalazła grunt, na którym niewątpliwie do szerszych dojdzie wyników. W Berlinie, w salonach Domu architektów, urządzono wystawę higienicznych i artystycznych strojów dla kobiet i dzieci, która wykazuje znaczny postęp w tym kierunku. Szczególniej ważnym i znamiennym jest oddział ubrań spodnich, od których istotnie reformę zacząćby należało. Najpierwsze firmy Berlina współubiegają się w pomysłach, łączących wygodę i higienę ze smakiem i elegancją.

Uwagę matek i wychowawczyń zwracają szkolne ubrania dla dziewcząt różnego wieku, wykonane podług rysunku i wskazówek artystki, Dory Kiesewetter, wydawczyni pisma, poświęconego zreformowanym ubiorom.

Z. S.



## Kroniczka.



— Miastu naszemu przybyła nowa, z kolei XXXIV-ta ochrona dla dzieci, pod egidą W. T. D. a założona przez osoby, które podjęły się w ciągu lat sześciu łożyć na jej utrzymanie. Prezes W. Mauersberger po 750 rubli rocz-

nie, ks. rektor J. Gralewski i Cecylia hr. Plater po 400 rb., p. Marta Łojko po 200, p. Alberti w imieniu Towarzystwa Gazowego po 100 i d-r Hrodecki po 60 rubli rocznie. Ochrona mieści się w lokalu przy ulicy Hożej № 29.

Poświęcenia dokonał w dniu 16-ym b. m. ks. rektor Jan Gralewski. Ochrona składa się z dwóch oddziałów. W starszym jest już 50-ro dzieci, pod kierunkiem dozorczyni p. Franciszki Sędzickiej, w młodszym 30-ro dzieci, które dozoruje p. Janina Marciszewska. Sala zajęć, obszerna sala rekreacyjna i ogród dopełniają całości. W tymże lokalu założoną, a niebawem otwartą zostanie Szkoła dla ochraniarek, pod kierunkiem p. Marciszewskiej.

— W Petersburgu otwarte zostają z początkiem listopada żeńskie kursy politechniczne. Miejsc wolnych przeznaczono 200, a prób napłynęło 600. Wymowny to dowód istotnej potrzeby wyższej uczelni dla kobiet na polu pracy technicznej.

— Grono osób z inteligencji, zajmujące się sprawami wychowania, opracowało Kwestyonaryusz szkolny. Treść kwestyonaryusza jest następująca:

- 1) Jaki jest cel założenia szkoły nowoczesnej polskiej?
- 2) Jakie są braki wychowania i nauczania w szkolnictwie obecnym?
- 3) Czy wychowywać dzieci w duchu religii katolickiej, strzegąc się bacznie zastąpienia ducha Chrystusowego formą tylko, czy zastąpić to nauką moralności?
- 4) Jaka ma być rola nauczyciela w wychowaniu? (podawanie wiadomości czy kierowanie ich w zdobywaniu samodzielnych przez dzieci?)
- 5) Jakie są braki w wychowaniu fizycznym i jak je należy zreformować?
  - a) żywienie, b) odzież, c) ilość godzin pracy umysłowej i fizycznej, snu i wypoczynku, d) praca ręczna, gry, sporty, wycieczki, zabawy, gimnastyka, e) wpływ słońca i powietrza (hartowanie), f) kąpiele, czystość ciała.
- 6) Jak rozwijać poczucie piękna i ład u dzieci?
- 7) Koedukacja, czy nie? (Wspólne wychowanie chłopców i dziewcząt, czy nie?)
- 8) Jak zreformować naukę historii, aby dzieci zrozumiały życie współczesne?

9) Czy pomieścić zakład w jednym budynku, czy w pawilonach?

10) Czy należy uświadamiać dzieci w zagadnieniach obywatelskich i jak?

11) W jakim wieku przyjmować dzieci?

12) W mieście, czy na wsi?

Odpowiedzi na powyższy kwestyonaryusz nadsyłać należy do dnia 12-go Października, pod adresem pensjonatu leczniczego dla dzieci w Zakopanem, willa Nieczuja.

— W Baku szerzą się niebywale rozruchy, spowodowane przez Tatarów i Kurdów. Całe wieś zamieszkałe przez Ormian wyrżnięte, kopalnie nafty podpalone, płonęły przez dni kilka i wiele z nich uległo zupełnemu zniszczeniu. Pożary przeniosły się na miasto. Ofiar w ludziach liczą setki, a może i tysiące. Straty ekonomiczne są nieobliczalne.

— W południowych Włoszech, w Kalabrii, skutkiem trzęsienia ziemi zburzone zostało 20 miejscowości. Dwa tysiące zabitych, dziesięć tysięcy ciężiej i lżej rannych i poszkodowanych, to cyfry przerażające swym ogromem! Komunikacja telegraficzna i telefoniczna w skutek zniszczenia przerwana. Wiele kobiet wpadło w obłęd lub zmarło z przerażenia Ks. Zagari odprawiający Mszę św. w chwili, gdy posąg Matki Bożkiej ozdabiający front kaplicy w szpitalu miejskim runął z łoskotem, pod wpływem silnego wrażenia skoczył z balkonu i poniósł śmierć na miejscu. Niepodobna opisać scen, jakie się rozgrywały przy grzebaniu tak licznych zwłok. 50,000 ludzi obozuje pod gołym niebem, niepewni życia i jutra. Cała Kalabria przedstawia obraz spustoszenia.

— W gub Kowieńskiej, powiecie Telszewskim, w majątku Miłoszajcie zmarła ś. p. *Kamilla z Dobrowolskich Woytkiewiczowa*.

Nieboszczka była rówieśniczką Adama Mickiewicza, a ojciec jej, Stanisław Dobrowolski, był nauczycielem literatury łacińskiej i polskiej w szkole powiatowej kowieńskiej, w której go później zastąpił na stanowisku Mickiewicz. Stosunki serdecznej przyjaźni i zażyłości złączyły poetę z rodziną Dobrowolskich i wytworzyły kult dla

Mickiewicza, w którym wychowywała się i wzrosła ś. p. Woytkiewiczowa. Zachowała rzeźkość umysłu i pamięci mimo sędziwego wieku lat 84.

— W Paryżu zmarł były minister *René Goblet*.

## Od Administracji.

Celem uniknięcia zwłoki w przesłaniu naszego pisma, upraszamy Szan. Prenumeratorki o wczesne wnoszenie przedpłaty na kwartał następny.

Zwracamy przy tem uwagę, że dla uniknięcia wszelkich nieporozumień, najlepiej wysłać listy pieniężne bezpośrednio do Administracji „Bluszczu“ (Nowy-Swiat, 41).

— Arkusz z krojami do numerów 39-go i 40-go dołączony zostanie w przyszłym numerze.

### Treść numeru:

Od Redakcyi.—Dla głodnych dzieci.—Gaszące dzieci, przez Jadwigę z Z. Strokową.—Ogień, nowella, przez Maryę Kunklową (dokończenie).—\* (wiersz), przez Ela.—Barwa nieba, przez Zofię S.—Gimnastyka psychiczna: Kształcenie woli, przez Władysławę Zarębinę.—Z pobytu na dalekim szlaku, przez Anielę Tripplinównę (ciąg dalszy).—Głos z prowincyi, przez Stefanię Bijejko.—Szkoly mieszane amerykańskie, przez R. (dokończenie).—Z listów do „Bluszczu“ z Paryża, przez K. D.-S.—Kronika działalności kobiecej, przez Z. S.—Kroniczka.—Od Administracji.—Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 2-gi nowelli Gustawa Flaubert'a p. t. „Herodyada“, w przekładzie Maryi Pankiewicz.

*Dodatek:* Opis ubiorów i robót (rycin 22).—Przepisy kuchenne.

# OGŁOSZENIA.

Zapowiedziana przez Redakcyę tygodnika „Bluszcz“

**KSIĄŻKA ZBIOROWA p. t.**

**„Kobieta Współczesna“**

zawierająca prace najcelniejszych autorek i autorów, objętości 366 str. wielkiego formatu opuściła prasę i jest do nabycia w administracji „Bluszczu.“

Prenumeratorki „BLUSZCZU“ płacą za  
powyższe dzieło

**tylko rb. 1.**

Przesyłka pocztowa kop. 40.

**Cena księgarska rb. 3.**

**KURSY WYŻSZE DLA KOBIET**

im. A. BARANIECKIEGO

istniejące od roku 1868.

Początek roku (po raz pierwszy) 1<sup>go</sup> a nie 15<sup>go</sup> października.

Prospekty (za zwrotem tylko porta) przesyła Księgarnia Gebethnera i Wolffa w Warszawie.—Korespondencye załatwia sekretarka kursów: Kraków, ulica Karmelicka 36.

Dyrektor: *Józef Rostafiński*.

**Szkoła Artystyczna dla Kobiet „A. CONTI“**

ulica Wielka № 23 (róg Wspólnej).

Kierownicy artyści: Rysunki i Malarstwo—A. Austen i E. Grajner; Rzeźba—M. Gerson—Dąbrowska i Wł. de Turquier; Sztuka stosowana—L. Łempicka, B. Maruszewski i A. Porczyński; Rys. techniczne—A. Porczyński; Rys. wieczorne—L. Łempicka i B. Wiśniewski; Kurs dla dzieci (chłopców i dziewczynek)—M. Gerson—Dąbrowska i L. Łempicka. Zapisy od 1-go, a lekcje od 15-go Września od g. 10—2 i og 5—7. Programy na żądanie.

**Źródłem siły  
dla wszystkich osłabionych,**

wycieńczonych, zdenerwowanych, pozbawionych energii skutkiem przepracowania umysłowego lub fizycznego, jak również i dla tych, których choroby wyniszczające i silne wstrząśnienia moralne pozbawiły odporności — jest

**SANATOGEN BAUERA**

zaszczycony świadectwami przeszło 2000 lekarzy wszystkich krajów kulturalnych.

Prawdziwy tylko Bauera i S-ki w opakowaniu rosyjskiem. Wystrzegaj się bezwartościowych naśladownictw. Broszury na żądanie wysyła bezpłatnie S. Karczewski, ul. Nowo-Senatorska No. 4 w Warszawie.



Nie wyrzucajcie pieniędzy za wynajem,  
Kupujcie na własność

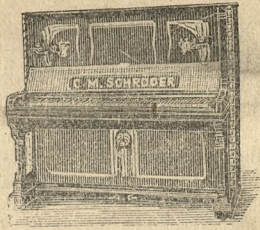
# PIANINA

Nadwornej fabryki „C. M. SCHRÖDER”

dotychczas dodając nieznaczny kwotę do sumy użytej, bezprodukcyjnie, na wynajem i kupując takowe na rozplata w ratach

od rb. 15

miesięcznie.



FORTEPIANY i PIANINA

## C. M. SCHRÖDER

Dostawcy 5 Dworów Cesarskich i Królewskich.

Fabryczny Skład na gub. Królestwa Polskiego  
w Warszawie, Nowy-Świat 30 tel. 1288.

Towarzystwo Akcyjne

# „Gazety Polskiej”

z kapitałem 250,000 rubli (1000 akcji po 250 rubli).

W dniu 9 czerwca r. b. uzyskała zatwierdzenie Najwyższe ustawa Towarzystwa Akcyjnego „Gazety Polskiej” pod nazwą:

**TOWARZYSTWO AKCYJNE**

zakładów i wydawnictw

„GAZETY POLSKIEJ”

w Warszawie,

z kapitałem 250,000 rubli, rozdzielonym na 1,000 akcji, każda po 250 rubli.

Założycielem Towarzystwa jest obecny redaktor i wydawca „Gazety Polskiej”, Jan Gadomski.

Według § 1 Ustawy. Towarzystwo, obok innych praw, jakie mu przysługują, ma prawo posiadać i wydawać wszelkiego rodzaju wydawnictwa, a w pierwszym rzędzie te, które są dziś własnością Jana Gadomskiego, t. j. „Gazetę Polską” i „Bibliotekę Dzieł Wyborowych”. Dla nabycia też i prowadzenia tych wydawnictw, łącznie z drukarnią, a względnie dla prowadzenia innych wydawnictw, dla nabycia dla swoich zakładów osobnego domu i t. p. zakłada się to Towarzystwo Akcyjne „Gazety Polskiej”.

Nasze Towarzystwo Akcyjne dla wydawania pisma codziennego jest pierwszym tego rodzaju w Państwie.

Zapisy na akcje Towarzystwa Akcyjnego zakł. i wyd. „GAZETY POLSKIEJ”, przyjmuje założyciel Towarzystwa, Jan Gadomski, w lokalu Redakcji „GAZETY POLSKIEJ” w Warszawie przy ul. Wareckiej 14.

Zapisy mogą być nadsyłane pocztą.

Ustawę każdy otrzymać może na żądanie.

Założyciel Towarzystwa Akcyjnego zakładów i wydawnictw „Gazety Polskiej” w Warszawie

Jan Gadomski.

Tow. Udoskonalonej Perfumeryi  
**A. RALLET & C-ie**

w Warszawie, Wierzbowa 7.

Poleca:

„LOXOTIS”  
„SADDA-JAKKO”  
„Groszek-Pachnący”

Do nabycia w Perfumeryach i Składach Aptecznych.

PARYŻ 1900  
GRAND PRIX.



ST. LOUIS 1904  
HORS CONCOURS.

= Towarzystwo Akcyjne =  
FABRYKI MEBLI WIEDEŃSKICH

„JAKÓB i JÓZEF KOHN”

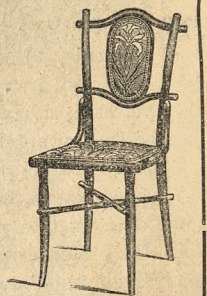
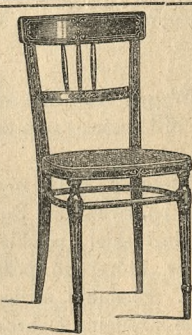
WARSZAWA — MARSZAŁKOWSKA 145.

POLECA

MEBLE do codziennego użytku,

Salonowe Gabinetowe **MEBLE** Fantazyjne Dziecinne

Całkowite urządzenia sypialni  
i stołowych pokojów w stylu  
„moderne” i angielskim.



ZAKŁAD NAUKOWY ŻEŃSKI

**ANTONINY WALICKIEJ**

44 KRUCZA 44.

Zapis uczennic codziennie od 11-ej do 1-ej i od 4-ej do 5-ej. Egzamina wstępne i przejściowe od 5-go września.

**SZKOŁA KROJU S. ROSZKOWSKIEJ**

ZŁOTA № 3. PENSYONAT.

Kursa prywatne i cechowe objaśnienia w 4-ch językach.

Po powrocie z zagranicznej akademii otworzyłam, kursa kapelusznicze, bielizniarskie, oraz specjalne kursa kroju dzieciennego.

Szkoła artystyczna

**W. TROJANOWSKIEGO**

dla mężczyzn, kobiet i dzieci

Kapucyńska 17.

Kursy dzienne, wieczorne, niedzielne. Historia sztuki, style, sztuka chrześcijańska, dla uczniów wszelkich szkół udogodnienia.

BIURO NAUCZYCIELSKIE  
**WASILEWSKIEGO,**

Warszawa, Marszałkowska 123,  
poleca: nauczycielki, bony, freblówki;  
sprowadza cudzoziemki.

BIURO NAUCZYCIELSKIE  
**MARJI NOWORYTO**

Warszawa, Marszałkowska 94.  
Poleca: nauczycielki, bony, cudzoziemki.

BIURO NAUCZYCIELSKIE  
**JAHŁKOWSKIEJ**

Warszawa, Marszałkowska 118  
poleca: nauczycielki, bony, cudzoziemki.

„SŁÖJD”

Pracownia

**M. Dunin Sulgustowskiej**  
Wysoka 3 (róg Smolnej)  
Przyjmuje na naukę dzieci i osoby dorosłe. Lekcje od 1-go Października, zaniśy od 25 Września.

Wydawca: *Piotr Laskauer*.— Redaktor: *Maryan Gawalewicz*.

Дозволено Цензурою. Варшава, 7 Сентября 1905 г.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Nowy-Świat 41.



### Strojne, bluzkowe staniki na koncerty, zebrania, do teatru i t. p.

№ 1. Bluzka upięta w kształcie bolera.

№ 2. Bluzka z chusteczkowym kołnierzem.

№ 3. Strojny stanik z frakową baskiną.  
(Patrz szkic a).

№ 4. Bluzka z wysokim, gorsecikowym paskiem.

### Wzory ubiorów i robót do Nr. 39.

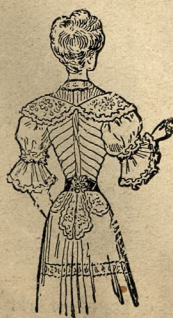
№ 1. Bluzka upięta w kształcie bolera.

Bluzka z czarnego aksamitu, sporządzona na doskonale dopasowanej podszewce, którą z przodu pokrywa gipiurowa kamizelka na podłożeniu z kremowej materyi, na ramionach gładko obciągnięta, udrapowana w dwóch szerokich odstępach i spięta strojnymi dżetowymi agrafami z grełkami. Stan obcisła wysoki drapowany pasek, zapięty z boku. Rękawy sięgające łokcia, suto przy ramieniu udrapowane, przepięte dżetowymi agrafami, zakończone gipiurową falbaną.

Potrzeba: 4 mtr. aksamitu, 65 ctm. gipiurowego materiału, 1<sup>3</sup>/<sub>4</sub> mtr. gipiury 15 ctm. szer., 40 ctm. gipiury 6 ctm. szer. (na kołnierzyk), 4 dżetowe spięcia.

№ 2. Bluzka z chusteczkowym kołnierzem.

Lekko wokoło namarszczoną bluzkę z białej, cienkiej materyi, prawie w całości przykrywa duży, kolisto skrojony, na przodzie, na plecach i na ramionach w zabcięty kołnier. Falbana z koronki i riuszka otaczają



Szkic a  
do ryc. 3.



№ 5. Kostium z sukieną, białą kamizelką.  
(Krój pierw. str. tabl. Fig. 8-17).

№ 6. Angielski kostium z obcisłym stanikiem.

zębate wycięcie przy szyi. Koronkowe falbany zakończone do łokcia sięgające rękawy. Kołnier przybiera haft i naszyje z wstążki Liberty w trzech szerokościach.

Potrzeba: 5<sup>1</sup>/<sub>2</sub> mtr. materyi, 3<sup>1</sup>/<sub>2</sub> mtr. koronki, 3 mtr. wstążki 2<sup>1</sup>/<sub>2</sub> ctm. szer., 2<sup>1</sup>/<sub>2</sub> mtr. 2 ctm. szer., i 2 mtr. 2 ctm. szer.

№ 3. Strojny stanik z frakową baskiną.  
(patrz szkic a).

Poprzecznie ufałdowany stanik z białego, lub w jasnym kolorze chiffon (na podszewce z taffetas), do spodnicy z tegoż materiału lub z materyi w dobranym tonie, wypełnia z przodu marszczona kamizelka, pokrywająca zapięcie z podszewki. Z chusteczkowym, zaplisanym karczkiem łączy się duży koronkowy kołnier, zdobny aplikacjami z jedwabnej gazy, zakończony riuszką z chiffon. Od kołnierza przeciągnięta węższa koronka, łączy się znów z frakową baskiną, przytrzymałą paskiem z wstążki Liberty. Wycięcie szyi otacza naszyje z perełek i pailetek. Bufiaste, do łokcia sięgające rękawy zakończone szerokimi falbanami, osypte riuszami.

Potrzeba: 3 mtr. chiffon podw. szer., 6 mtr. riuszki, 3 mtr. koronki 15 ctm. szer., 1 mtr. szlaku naszytego perlami 3 ctm. szer., 2 mtr. taffetas na podszewkę.

№ 4. Bluzka z wysokim, gorsecikowym paskiem.

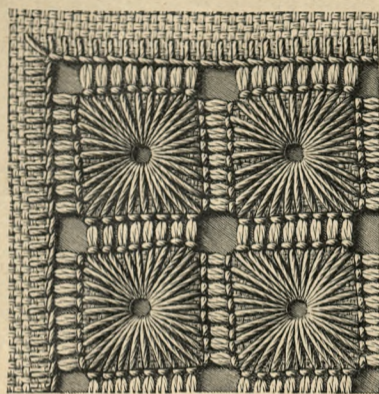
Błado-niebieska, lekka jedwabna materya i czarny atlas Liberty, bardzo ładnie tworzą zestawienie. Poprzecznie przemarszczoną bluzkę, sporządzoną na dobrze dopasowanej podszewce, strojnie przybiera przedłużony



№ 7. Bluzka z aksamitu w pasy. № 8. Bluzka z wełnianego materiału w kratę.  
(Krój odw. str. tab. Fig. 97-103).



№ 9. Sukienka dla dziewczynki od 4-6 lat.  
(Krój pierw. str. tabl. Fig. 44-48).



№ 16. Część wysycia do ryc. 10.  
(Wielkość oryginalna).

z przodu karczerek z kremowej, pięknej gipiury. Karczerek osztyt pikotkami, otacza atłasowa czarna plisa, chowająca się pod przedłużeniem z przodu. Na plecach i na przodach od plisy wykrojone małe patki, zachodzą na karczerek, przymocowane strassowymi guziczkami. Czarna plisa z przodu pokrywa zapięcie. Krótkie bufy, ujęte w podwójną plisę z atlasu podzieloną pikotkami. Gorsecikowy pasek usztywniony fiszbinami, składa się z ukośnych plis jednakowej szerokości.

Potrzeba: 2 1/2 mtr. niebieskiej mater., 1 1/4 mtr. atlasu Liberty, 1/2 mtr. gipiurowego materiału, 12 guziczeków, 2 mtr. pikotek.

№ 5. Kostium z sukienką, białą kamizelką.  
(Krój pierw. str. tabl. Fig. 8-17).

Przybranie bardzo zręcznego kostiumu z sukna w kolorze beige, stanowią: złożone guziki, białe sukno, brązowy aksamit i brązowy, deseniowy sutasz. Spódnica, złożona z przodu w fałdę zakończoną kolistą falbaną, wykrojoną z przodu w zęby. Przody stanika, podłożone białym sukniem, rozchodzą się na białej wazkiej kamizelce, z tegoż sukna, połączonej ze stojącym, z tyłu zapiętym kołnierzem. Na podłożeniu z białego sukna odchylają się małe kłapki z brązowego aksamitu. S-alowy, w zęby wycięty kołnierz dochodzi aż do stanu. Rękawy gilot, przybiera wysokości mankiet i guziczki.

№ 6. Angielski kostium z obcisłym stanikiem.

Materiał: wełna w tonie oliwnym, przerabiana czarną nitką. Przybranie stanowi czarna kamelarowa taśma, zszyta w formie patek i przyciśnięta stebnowaną plisą z materiału. Przybranie także przykrywa przyszyte wysokiej, na bokach w ząb ściętej falbany, zdobi w formie karczerek przeciągnięte naramienniki i rękawy. Prócz tego taśma przeciągnięta przez proste wycięcie stanika, tworzy rodzaj szamerowania, z pod którego wygląda biała płócienna szmizetka, z wysokim kołnierzem, podwiązany czarną krawatką. Przód stanika odznaczony stebnowaną plisą, z boku kryto, na zatraski zapięty. Podwójny, wązki pasek z materiału obcisła stan. Rękawy umiarkowanie przy ramionach sfaldowane.

Potrzeba: 7 mtr. materiału podw. szer., 12 mtr. taśmy 2 ctm. szer., 2 guziki.

№ 7. Bluzka z aksamitu w pasy.

Bluzkę z aksamitu w zielone i brązowe pasy dopełnia kamizelka z sukna zielonego, z którego też sporządzone są odwiniete mankiety, kołnierzyk i wypustki przy szerokich naramiennikach. Bluzka tak jest ułożona, że z pod każdego ząbka, przy mocowanego guzikiem przy naramienniku, wysuwa się kontrafałda, pomiędzy zaś



Szkic b do ryc. 18.

jedną i drugą ułożone są równe, płaskie fałdy kamizelkę sukienką, kryto na haftki zapięcia i wykończoną środkiem wypustkami z aksamitu, pokrywają pętelki z aksamitu, zakończone drobnymi metalowymi guziczkami. Rękaw przy ramieniu szeroki, ułożony w fałdy, ponad zgięciem ręki zastebnowany w drobne, 8 ctm. długie, poprzeczne zakładeczki, powyżej sukiennego mankieta kilkukrotnie przestebnowany. Dobrze dopasowana podszewka zapięta osobno.

№ 8. Bluzka z wełnianego materiału w kratę.  
(Krój odw. str. tnb. Fig. 97-103).

Skromna bluzka z ziele liny w jasne kraty, łatwa do sporządzenia na dobrze dopasowanej podszewce, z tyłu zupełnie gładka, z przodu kryta zapięta, złożona w dwie zastebnowane fałdy, przyozdobione metalowymi ładnymi guzikami, fałdy podłożone aksamitną wypustką. Stój kołnierzyk z białego kaszmiru, przestebnowany zieloną jedwabiem i nałożony w górze zielonym aksamitem, pięty z tyłu. Naszyte z przodu na kołnierzyku dwa ziki, przytrzymują z każdej strony trzy pękły z aksamitu. Rękaw umiarkowanie szeroki, zakończony wysokim mankiem, podłożonym wypustką aksamitną przyozdobionym guzikami.

№ 9. Sukienka dla dziewczynki od 4-6 lat.  
(Krój pierw. str. tabl. Fig. 44-48).

Sukienka z materiału w granatowe i zielone tło, składa się z podwójnej spódniczki, połączonej z



№ 10, 11 i 12. Kolier i sukienka dla małego dziecka.  
(Krój i wskazówki w str. tabl. Fig. 51-56).

górze, zakończą odłożony mankiet. Guziki duże perłowe.

№ 14. Domowa bluzka z wełnianego materiału.  
(Krój odw. str. tabl. Fig. 104-108).

Przybranie skromnej bluzki z wełnianego szarego materiału, przerobionego czarnymi ściągami, stanowią plisy z czarnego skośnie krajane aksamitu i oksydowane płaskie guziczki. Marszczoną bluzkę przytrzymuje w górze okrągły karczerek, przedłużony w formie szerokiej długiej fałdy z przodu, pokrywającej zapięcie. Karczerek dwukrotnie naszyty aksamitnymi plisami, z których niższa, naszyta w odstępach guzikami, przedłużona z przodu i na ramionach. Rękaw złożony z krótkiej bufy zakończonej aksamitną plisą i z wązkiego rękawka zastebnowanego w odstępach w poprzeczne, drobne zakładeczki. Odpowiednio do



№ 19. Kostium z materiału w kratę, przybrany taśmami.  
(Krój odw. str. tabl. Fig. 76-83).



№ 20. Kostium spacerowy z futrem.  
(Patrz szkice e i d).

skórzanym paskiem. Bluzka wszyta w proste karczerek, razem ze spódnicą zapięta z tyłu. Rękawy szerokie, wszystkie w wysoki mankiet. Przybranie stanowi wązka czarna aksamitka.

№ 13. Okrycie dla dziewczynki od 3-5 lat  
(Krój odw. str. tabl. Fig. 109-112).

Okrycie z jasnego sukna w modnym kolorze, podszyte ciepłą flanelową podszeswką, przybierają plisy z materiału w ząb zakończone i rozszerzone nieco ku dołowi, szeroka w dole stebnówka, oraz wykładany kołnierz, pokryty aksamitem w tonie sukna. Plisy w kształcie szelek przeciągnięte przez ramionka, jednakowo nałożone z przodu i z tyłu. Rękawy wykończone na półjedwabnej podszewce, ufaldowane w



№ 13. Okrycie dla dziewczynki od 3-5 lat.  
(Krój odw. str. tabl. Fig. 109-112).

nich wykończony, stojący, z boku zapięty kołnierz.

№ 15. Sukienka bluzka, przybrana jasnym napiersznikiem.

Bluzkę z brązowego sukna z przodu i na plecach jednakowo wyciętą, przybiera szmizetka z jasno-lila, cienkiej matery, razem ze stojącym kołnierzykiem poprzecznie przemarszczona. Szmizetka sporządzona do odpinania, może być dowolnie zastąpiona inną. Plisy z materiału, otaczają wycięcie oraz środek przodu i pleców, które jedynie są lekko przymarszczone, boki pozostają gładkie. Plisy na ramionach, podłożone patkami, dopełniają przybrania. Zapięcie na zatraski, ukryte pod plisą z lewej strony przodu. Rękaw na wierzchu przemarszczony. Przemarszczenie przytrzymuje plisa. Przy rękę rękaw przybrany plisami odpowiedniami do plis na ramionach.

Potrzeba: 2 mtr. sukna podw. szer., 3/4 mtr. jasnej, lekkiej matery.

№ 18. Luźne okrycie, przybrane sutaszem.  
(Krój i deseń odw. str. tabl. Fig. 89-96).

Luźny, długi paltoł z czarnego sukna przytrzymany w górze rodzajem bolera (patrz szkic b), zdobi piękne naszyte z jedwabnego sutaszu. Kołnierz i mankiety z zielonego aksamitu rozjaśniają małe kliniki z białego sukna oraz drobne metalowe guziczki. Plisy z materiału nastebnowane na brzegu i wzdłuż przodów, łączą się z plisą okalającą bolero. Rękawy gładkie, dosyć proste, przy ramieniu ułożone w fałdkę. Podszewka strojna jedwabna, zapięcie stanowią płaskie metalowe lub inne fantazyjne guziki i pętelki ze sznurka.

Obiad na Niedzielę.

- Barszcz czysty z pasztecikami w drożdżowym cieście.
- Karp z karpowym sosem.
- Comber barani z krokietami z kartofli.
- Kalafior z masłem.
- Kapłony.
- Kompoty, sałata.
- Krem z owocami.



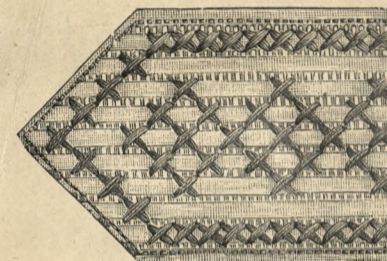
Patrz szkice e i d do ryc. 20.

Obiad na Niedzielę.

- Barszcz z uszkami.
- Wątróbka cielęcą duszona w śmietanie.
- Pieczon barania z ryżem.
- Kompot.



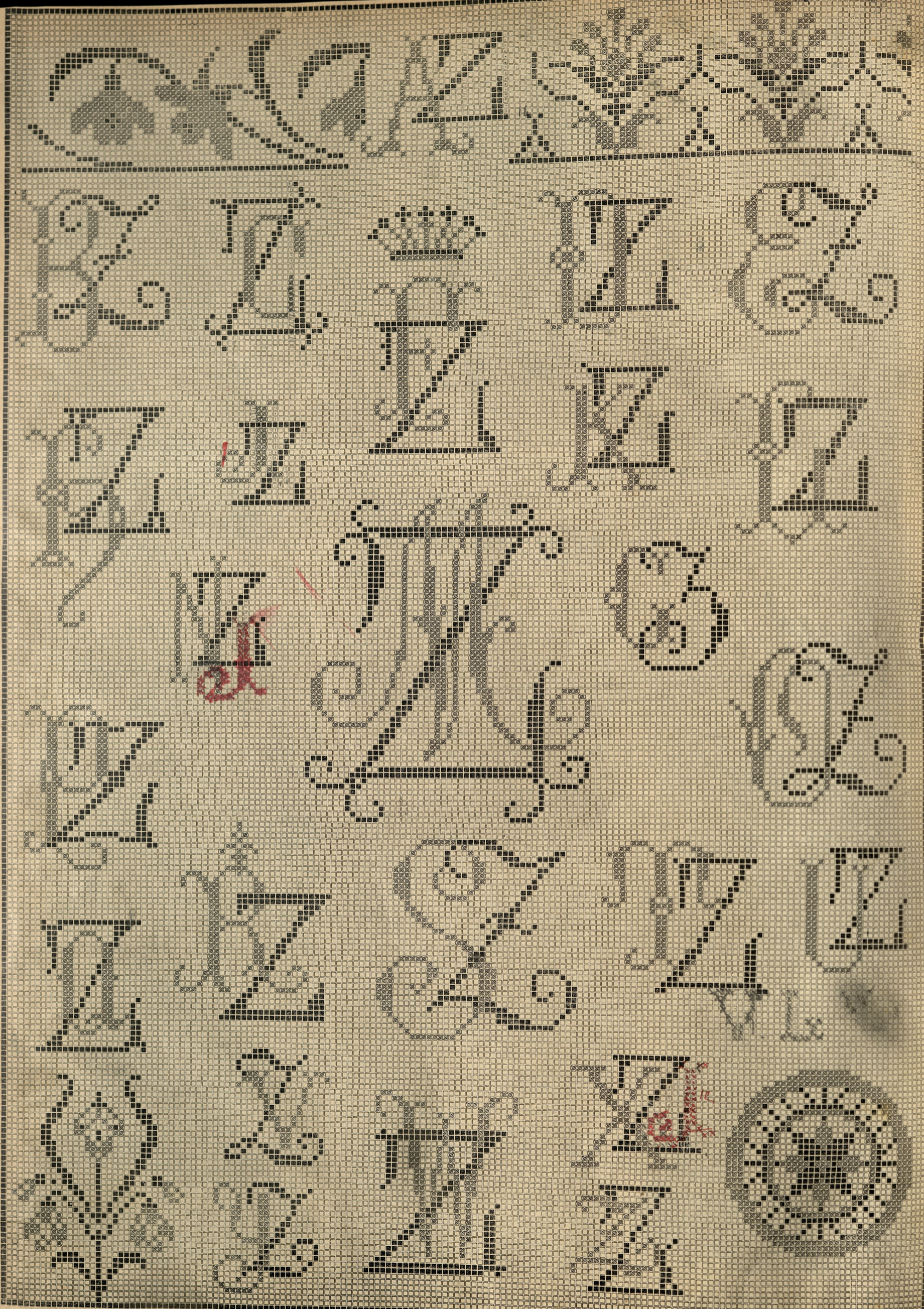
№ 14. Domowa bluzka z wełnianego materiału.  
(Krój odw. str. tabl. Fig. 104-108).



№ 17. Część wysycia do ryc. 11 i 12.  
(Wielkość oryginalna).



№ 21. Kostium z długim, półwyciętym paltołkiem.  
(Krój pierw. str. tabl. Fig. 49-53).



Monogramy z literą Z i ozdoby do bielizny robotą krzyżkową.